ZWYCIĘŻYMY

ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca na ziemi włoskiej

ROK IV Nr 26 (116) NIEDZIELA, 20 SIERPNIA 1944 R. CENA 10 LIRÓW

ARP.

CO DALEJ?

Właściwie, gdyby doświadczenia polityczne i historyczne były wszędzie obowiązujące, należałoby postawić po wizycie p. Mikołajczyka w Moskwie i po ustaleniu stosunków armii czerwonej do warszawskiego powstania kategoryczne pytanie: co dalej? Czy brnąć będziemy w dalszym ciągu w naszej polityce wobec Moskwy po linii dotychczasowej? Czy nic nie potrafi nas nauczyć, zreflektować, umocnić w konieczności obrania innej drogi, skoro dotychczasowa okazała się bezcelowa? Czy nie osiągnęliśmy jeszcze punktu szczytowego, a raczej żałosnego dna owej „polityki dobrej woli", okazywanej Moskwie jednostronnie przez nas od dłuższego czasu, z gorliwością i samozaparciem godnym lepszej sprawy?

Rozmowy p. Mikołajczyka z delegatami „komitetu wyzwolenia", rozmowy przeprowadzane pod dobrotliwym przewodnictwem p. Mołotowa, rozbiły się, czy też uległy odroczeniu wskutek kategorycznego żądania strony moskiewskiej wyrzeczenia się przez rząd polski konstytucji z r. 1935 i przywrócenia samowolnie konstytucji z r. 1921, która, jak się okazuje, mile jest widziana w Sowietach. P. Mikołajczyk, który według doniesień prasy angielskiej, gotów był pójść na ustępstwa w sprawie linii demarkacyjnej, oświadczyć miał, że ani on, ani rząd, ani Prezydent nie mogą własnowolnie zmieniać ustroju państwa, gdyż nie mają do tego prawa.

W istocie żądanie sowieckie zmierzało przez usunięcie podstawy prawnej Rzeczypospolitej do podcięcia legalności państwowej polskiej, odebrania władzom polskim, na emigracji i w kraju, artybutów udzielności, odjęcia Polskim Siłom Zbrojnym praw suwerennych i sprowadzenia ich do rzędu wojsk partyzanckich, nadania rządowi polskiemu charakteru komitetu równorzędnego komitetowi Wasilewskiej. Fakt, że na skutek rozmów p. Mikołajczyka z grupą Wasilewskiej w Moskwie zaczęto w pismach nazywać rząd polski „grupą Mikołajczyka", świadczy, jak dalece na skutek misternej gry Moskwy i powolnego wciągania Polski na drogę jednostronnych ustępstw obniżył się autorytet legalnych władz państwowych. Moskwie jednak nie wystarcza poniżanie rządu polskiego. Moskwa chce śmierci legalnych władz Rzeczypospolitej. Dlatego zażądano od p. Mikołajczyka popełnienia samobójstwa politycznego nie tylko w imieniu swoim, ale i rządu oraz państwa, które bez podstaw prawnych istnieć nie może. W Moskwie oczekuje się od Polaków zbiorowego harakiri, które uczyniłoby z narodu naszego bezwolną, zdezorganizowaną masę. Żądania, z którymi spotkał się p. Mikołajczyk w Moskwie, są jeszcze jednym dowodem, że polityka sowiecka zmierza do likwidacji całej Polski jako państwa niezależnego i suwerennego, opartego na ciągłości historycznej i prawnej, na rodzimej legalności, na własnej konstytucji.

Zachowanie się rządu sowieckiego wobec powstania w Warszawie odsłoniło natomiast jego stosunek do Polskich Sił Zbrojnych, walczących o wolność. Bo jak toczyły się wypadki w Warszawie? W końcu lipca, gdy wojska sowieckie podchodziły pod stolicę, czerwone radiostacje wzywały uporczywie jej mieszkańców do buntu przeciw Niemcom. W dniu 29 lipca np. radio Związku Patriotów w Z. S. R. R. wystąpiło z następującym apelem:

„Warszawa słyszy huk armat sowieckich i polskich (armii Berlinga — przyp. red.). Nadchodzi chwila wyzwolenia. Na tę chwilę wszyscy Polacy czekali przez długich pięć lat. Już jutro synowie bohaterskiej Warszawy przyłączą się do armii polskiej (Berlinga) i ruszą razem na wroga.

„Warszawiacy! Wybija godzina czynu! Niemcy będą chcieli bronić naszego miasta! Niemcy będą chcieli zamienić nasze domy i gmachy, nasze ulice i place w gniazda swojego oporu! Pamiętajcie, że zginąć może bezpowrotnie to, czego nie uratujemy!"

A zatem przed 1. sierpnia radio sowieckie wzywało, prowokowało wprost Warszawę do powstania. Nie sądzimy, by wybuchło ono na skutek zawsze podejrzanych z tamtej strony apeli. Jeżeli pednak dziś Sowiety - jak przekonamy się dalej - usiłują tłumaczyć swą bezczynność wobec walk w Warszawie wymówkami, że powstanie ich zaskoczyło, to tego rodzaju usprawiedliwienia znajdują się w rażącej sprzeczności z odezwami sowieckimi prowokującymi po prostu stolicę do buntu przeciw Niemcom.

W dniu 26 lipca - jak donosiła P. A. T., w londyńskim „Times'ie" zamieszczono ocenę sytuacji na froncie wschodnim nadesłaną z kraju przez komendanta głównego Polskiej Armii Krajowej gen. Bora. W ocenie tej, noszącej datę 21 lipca br. gen. Bór stwierdzał, że „Niemcy na froncie wschodnim ponieśli klęskę. Trzy armie na środkowym odcinku tego frontu zostały rozbite, a na ich miejsce dowództwo niemieckie nie nadesłało świeżych sił".

W dniu 8 sierpnia, w przemówieniu do kraju, wicepremier Kwapiński ustalił fakt następujący: „...sami postanowiliście rozpocząć walkę, z upoważnienia rządu Rzeczypospolitej, wspólnie z przedstawicielami politycznymi naszego narodu reprezentowanego w Radzie Jedności Narodowej..."

PAT podała również tekst odezwy wydanej w Warszawie w dniu 3 sierpnia przez delegata rządu na kraj, wicepremiera rządu, przewodniczącego Rady Jedności Narodowej, oraz dowódcy Armii Krajowej. Odezwa rozpoczynała się od słów:

„Polacy! Walka z bronią o wyzwolenie stolicy rozpoczęta. Delegat na kraj, wicepremier rządu i przewodniczący Rady Jedności Narodowej w porozumieniu z dowódca Armii Krajowej zdecydowali wystąpić zbrojnie 1 sierpnia...".

Otóż 1 sierpnia wojska sowieckie stały u bram Warszawy. „Daily Telegraph" opisując chwilę wybuchu powstania stwierdzał:

„1 sierpnia, gdy działa Rokossowskiego grzmiały u wrót Warszawy, mieszkańcy jej powstali przeciw Niemcom".

Decyzja wybuchu powstania w Warszawie nastąpiła zatem w dniu, w którym wojska sowieckie wkraczały już niemal do stolicy. Z chwilą jednak podjęcia przez Armię Krajową walki w Warszawie nastąpiła sensacyjna, lecz jakże wymowna zmiana na froncie niemiecko - sowieckim. Na warszawskim odcinku tego frontu zapanowała z dniem 3 sierpnia głucha cisza; co więcej wojska sowieckie cofnęły się spod Pragi zajmując wobec walk polsko-niemieckich, tak jak w pierwszych dniach września r. 1939, stanowisko obojętne, neutralne.

Meldunki gen. Bora były coraz bardziej alarmujące. W depeszy z dnia 8 sierpnia podawał on brzmiącą na pozór tajemniczo, a w istocie jakże wymowną wiadomość: „Od strony frontu rosyjskiego zupełna cisza." W meldunku z dnia 10 sierpnia czytaliśmy: „Na froncie rosyjsko - niemieckim pod Warszawą od 3 sierpnia zupełna cisza." W depeszy delegata rządu na kraj z dnia 10 sierpnia znajdujemy takie zdanie: „Walczymy samotnie bez pomocy." W dniu 14 sierpnia gen. Bór meldował: „Bitwa o Warszawę toczy się przeciw znacznie przewyższającym siłom nieprzyjacielskim. Natychmiastowe natarcie z zewnątrz jest konieczne. Rozkazałem wszystkim rozporządzalnym jednostkom armii krajowej, by ruszyły szybko na wroga znajdującego się wewnątrz Warszawy i by weszły do walki w mieście."

A tymczasem na froncie niemiecko - sowieckim panowała cisza. Cisza złowieszcza, złowroga, powiedzielibyśmy złośliwa...

Wrażenie, jakie cisza ta wywarła w opinii naprawdę niezależnej było tak silne, że niektóre pisma z organem Watykanu „Osservatore Romano" na czele uważało za stosowne zwrócić uwagę na niezwykłość sytuacji, która wytworzyła się nad Wisłą, jak i na wzajemny, charakterystyczny stosunek stojących tam wojsk polskich, niemieckich i sowieckich.

„Daily Telegraph" usiłował wytłumaczyć zachowanie się wojsk sowieckich brakiem koordynacji między komendą powstania, a naczelnym dowództwem sowieckim. Polacy wywołując powstanie działali, według tego pisma, odruchowo, spontanicznie, krótko mówiąc lekkomyślnie.

„Żołnierze polscy - pisał „Daily Telegraph" — jak to jest w ich zwyczaju, dali dowody wspaniałego bohaterstwa, lecz wydaje się, że z punktu widzenia strategicznego powstanie ich było przedwczesne. Zmusi to naczelne dowództwo rosyjskie do zmiany swoich planów..."

Wyszło więc na to, że powstańcy zamiast dopomóc armii czerwonej popsuli tylko jakieś genialne plany strategiczne jej sztabu. Jeszcze jaskrawszych informacji na ten temat dostarczyło kanadyjskie pismo we Włoszech „The Maple Leaf" pisząc:

„Radio moskiewskie składa pełną odpowiedzialność za powodzenie, lub upadek powstania w Warszawie w ręce polskiego rządu uchodźczego w Londynie. Poddawszy surowej krytyce ten rząd agencja sowiecka TASS zaznaczyła, że oświadczenia prasy polskiej jak i radia, stwierdzające, że powstańcy nie otrzymali pomocy ze Związku Sowieckiego, są wynikiem albo nieporozumienia, albo stanowią oszczerstwo pod adresem sowieckiego naczelnego dowództwa". Polskie koła londyńskie, według TASS'a, nie uczyniły żadnego wysiłku, by skoordynować warszawskie powstanie z działaniami sowieckiego naczelnego dowództwa. Punkt kluczowy w walce, w której rostrzygną się losy Warszawy, przesunął się na północ i na północny - wschód od Siedlec, gdzie Rosjanie walczą o oczyszczenie południowych brzegów Bugu."

Tyle wyjaśnienia TASS'a. W świetle poprzednich naszych wywodów nie wymagają one już dalszych komentarzy.

Doczekaliśmy się istotnie paradoksalnej sytuacji. Dotychczas propaganda sowiecka zapełniała świat krzykiem, że Polacy, jak wiadomo urodzeni faszyści, nie chcą bić się z Niemcami. Zwycięstwo pod Monte Cassino przygłuszyło tę oszczerczą kampanię. Doczekaliśmy się natomiast pretensji o to, że Polacy biją się z Niemcami.

Dotychczas Moskwa chwaliła każdego, kto walką swą wiązał siły niemieckie.

Dokończenie art. na str. 10).

Wręczenie sztandaru jednemu z oddziałów Polskiej Armii Krajowej

NIE POZWOLIMY NA NOWY ROZBIÓR...

Myśmy nigdy nikogo nie zdradzili, nigdy nic obcego wziąć nie chcieliśmy. I jeżeli się mówi, że dziś Polska winna być przyjazna, to powiemy, że myśmy nie dawali powodów do nieprzyjaźni. Broniliśmy zawsze honoru i niepodległości, a stroną agresywną byli inni. Dlatego też dziś cokolwiek się dzieje, nasza droga jest jasna i wyraźna:

Nie pozwolimy na nowy rozbiór Polski, nie pozwolimy na wprowadzenie rządu agentur obcych i ktokolwiek by chciał i nas namawiał na to, zgody nigdy nie uzyska.

■

Walczymy pomimo wszelkich trudności i mamy głęboką wiarę, że nasi sojusznicy rozumieją, że pokój tylko wtedy może być w Europie i na świecie, kiedy sprawiedliwość i uczciwość będą święciły triumfy i tym samym powstanie naprawdę wolna i wielka Polska.

My z tą wiarą idziemy naprzód.

Dlatego dziś wbrew wszelkim agenturom i agentom, którzy przychodzą i namawiają nas, żeby pójść czy to pod komendę sowiecką, czy wreszcie nakłaniają do złożenia broni, odpowiadamy jedno:

Jesteśmy reprezentacją narodu polskiego, jesteśmy Małą Polską, która idzie drogą honoru, drogą naszej tradycji, drogą szczęścia dla Polski.

(Z przemówienia gen. Andersa do kawalerów Virtuti Militari w dn. 8 sierpnia 1944 r.)

M. K. DZIEWANOWSKI

TESTAMENT DOŚWIADCZENIA

„La politique est une vertue et la vertue de la politique est la justice" *).
(z notatek Talleyranda)

Książę Adam Czartoryski zasiadając do pisania swego „Essai sur la diplomatie" przypuszczał, że zawierać ono będzie testament i syntezę myślową jego działalności publicznej.

Rzeczywistość wykazała, że książę zakończył wówczas dopiero pierwszy okres swej działalności politycznej, że zaledwie przekroczył, jak by powiedział Dante — „mezzo camin della vita" (połowę drogi żywota).

Urodzony w r. 1770, w r. 1823 miał ks. Adam lat 53 wyjątkowo intensywnego żywota. Student uniwersytetu w Edynburgu, uczestnik kampanii r. 1792, kawaler orderu Virtuti Militari, początkowo zakładnik na dworze carycy Katarzyny, a następnie adiutant młodego następcy tronu, Aleksandra, nie mógł się uskarżać na młodość zbyt spokojną. Potem przyszło parę lat posłowania na dworze sardyńskim, zamaskowana forma wygnania, wymyślona przez cara Pawła, obawiającego się zbytnich wpływów polskiego adiutanta na syna. Śmierć Pawła przynosi księciu odwołanie i nominację na kuratora okręgu szkolnego wileńskiego, a wreszcie niemal wymuszone przyjęcie stanowiska ministra spraw zagranicznych Rosji w r. 1804, zakończone dobrowolną rezygnacją w dwa lata potem.

Dość dziwne to było zresztą ministrowanie, gdyż książę podjął się piastowania tej godności pod warunkiem nie brania pensji i nie otrzymywania orderów — jedyny chyba tego rodzaju wypadek w historii. Ustępując ze stanowiska ministra Czartoryski zatrzymuje jednak kuratelę szkolnictwa polskiego na ziemiach zabranych, na którym to stanowisku dokonał dzieła, według opinii Nowosilcowa, o pięćdziesiąt lat opóźniającego rusyfikację tych ziem. Lata między 1806-1823 — to próby wpływania na sprawę polską za pomocą wykorzystywania wpływu posiadanego na cara Aleksandra w kierunku jej rozwiązania przez związek wszystkich ziem Rzeczypospolitej z Rosją i zapewnienie tym ziemiom swobodnego, konstytucyjnego rozwoju w ramach unii personalnej.

Kongres wiedeński i pierwsze lata nowego Królestwa zachwiały nadziejami księcia na możność pełnego urzeczywistnienia jego planów współpracy polsko-rosyjskiej. Po latach nadziei, zapału i złudzeń, po latach wypełnionych intensywną pracą polityczno-dyplomatyczną, przychodzi okres zniechęcenia, rozczarowania, pragnienie wypoczynku... Książę próbuje wycofać się z bardziej czynnego życia politycznego, zaczyna zbierać bibliotekę, więcej koncentruje uwagę na kuratelі nad szkolnictwem W. Księstwa Litewskiego i Wołynia. Dla poratowania zdrowia podróżuje za granicę: do Włoch, Francji, Szwajcarii i Niemiec. Gdy jest w kraju, dużo przebywa w Wilnie. Styka się z braćmi Sniadeckimi, Zanem i Mickiewiczem. Dużo, bardzo dużo czyta, porządkuje swe notatki. Wreszcie zaczyna pisać.

Owocem tej pracy jest właśnie „Essai sur la diplomatie", główne obok pamiętników dzieło pisarskie Czartoryskiego.

Essej został ukończony w r. 1827, a pierwsze wydanie ukazało się drukiem w czerwcu r. 1830, na półkach zaś księgarskich znalazło się dopiero w sierpniu, a więc już po rewolucji, i to w Marsylii, pod pseudonimem Filohelena.

Punktem wyjścia analizy współczesnej dyplomacji europejskiej są dla autora eseju doświadczenia kongresu wiedeńskiego.

Niepowodzenia Napoleona spowodowane były — zdaniem Czartoryskiego — niezrozumieniem istoty Europy, z którą można współpracować w imię pewnych zasad, ale której nie można narzucić trwale woli jednego mocarstwa, gdyż próby takie zawsze doprowadzą do kryzysu i wojny jednoczącej większość kontynentu przeciwko państwu usiłującemu ugruntować swą hegemonię.

Sprzymierzeni pokonali Napoleona mając na ustach hasła poszanowania praw Europy, skłonni byli jednak zapomnieć o tych hasłach z chwilą, gdy poczuli się panami sytuacji. Przyrzeczenia dawane w okresie słabości stały się dla nich niewygodne i krępujące.

„Łatwość powiększenia i zaokrąglenia swych terytoriów popchnęła ich do popełnienia na małą skalę tych samych niesprawiedliwości, jakich Napoleon dopuszczał się na wielką...".

Co więcej, z chwilą gdy minęło wspólne niebezpieczeństwo, mocarstwa uświadomiły sobie, że mają sprzeczne interesy. Toteż niepamiętni wspaniałych obietnic i deklaracji składanych przy byle okazji, czterej alianci uniknąwszy wojny pomiędzy sobą zabrali się do dzielenia Europy na sfery wpływów, bez oglądania się na dążenia i pragnienia poszczególnych narodów.

Opinia Europy, początkowo olśniona sukcesami koalicji, ocknęła się i poprzez kontynent przebiegać zaczął pomruk niezadowolenia, coraz częściej pojawiać się zaczęły głosy krytyki.

W takiej atmosferze obradował kongres wiedeński.

Chociaż zapominano o dawnych przyrzeczeniach i oświadczeniach, słowa: „prawo narodów" pojawiały się na każdym kroku w tekstach dokumentów kongresu, gdyż — „taka jest siła wywierana na ludzi przez ideę prawa, iż nawet ci, co je gwałcą, odczuwają nieprzepartą potrzebę powoływania się na nie". „L'hypocrisie est l'hommage que le vice rend a la vertue" („obłuda to hołd składany przez występek cnocie").

Mocarstwa nadające ton kongresowi nie rozumiały — zdaniem księcia — roli małych narodów widząc w nich tylko statystów, a nie współtwórców i współuczestników porządku europejskiego, niezbędnych czynników harmonijnej współpracy międzynarodowej. W gruncie rzeczy — stwierdza on — to mniejsze państwa decydują o równowadze, gdy siły wielkich mocarstw są niemal równe.

Krytykując obrady kongresu wiedeńskiego autor „Essai sur la diplomatie" formułuje zadania dyplomacji, tak jak je sobie wyobraża w wyniku swych doświadczeń. Świat może się pomyślnie rozwijać pod warunkiem istnienia dłuższych okresów pokoju, a przedłużenie tych okresów stanie się bardziej prawdopodobne pod warunkiem powrotu do idei sformułowanych przez Henryka IV i Elżbietę, „idei ligi europejskiej", czyli zespołu narodów równouprawnionych, współpracujących z sobą na zasadach dobrowolnej kolaboracji, w oparciu o ideały sprawiedliwości chrześcijańskiej.

Celem ligi europejskiej winno być zapewnienie bezpieczeństwa poszczególnych jej członków, trwałe zaś bezpieczeństwo osiągalne jest pod warunkiem wprowadzenia do życia międzynarodowego zasad moralności chrześcijańskiej. Pośrednictwo i rozjemstwo winne być środkami likwidacji sporów powstających pomiędzy członkami „Ligi", żaden zaś spór nie jest nie do rozwiązania, jeżeli po obu stronach istnieje dobra wola pokojowej jego likwidacji. Czartoryski jest zwolennikiem kodyfikacji prawa międzynarodowego, które — jego zdaniem — winno być odbiciem prawa moralnego, zastosowanego do życia między narodami, gdyż prawo narodów powinno być „etyką stosowaną".

Tak małe jak i wielkie państwa mają te same podstawowe prawa do życia i rozwoju swych właściwości narodowych. Ponieważ jednak mniejsze państwa mogą zapewnić prawdziwą niepodległość jedynie mając dla jej poparcia odpowiednią siłę, książę Adam występuje z ideą wiązania się mniejszych i słabszych państw w federacje i konfederacje. „Europa — pisze — ma nawet prawo żądać tego od nich, ponieważ jest to jedyna droga, przez którą mogą oni skutecznie przyczynić się do urzeczywistnienia szczęśliwego i pomyślnego funkcjonowania wspólnoty europejskiej. Konfederacje i federacje państw są o tyle pożądaną formą związków państwowych, że m.in. siła ich jest czysto obronna i z natury swej nie może zagrażać większym mocarstwom".

„System federacyjny chroni małe państwa przed zachłannością wielkich bez uszczerbku dla ich interesów narodowych i bez utraty ich narodowej osobowości" — pisze książę. „Narody o różnym pochodzeniu i języku mogą się zbliżać, popychane ku temu wspólnymi interesami, a tworząc związki oparte na uwzględnieniu swych podstawowych interesów, tworzyć siłę, która zapewni im stanowisko godnych partnerów w rozmowach z większymi mocarstwami".

Omawiając rolę wielkich mocarstw autor „Essay'u" dochodzi do wniosku, iż Wielka Brytania działa w myśl zasad, które najmniej są oddalone od tych, jakie chciałby on widzieć wcielane przez inne państwa. W ciągu wojen napoleońskich Wielka Brytania walczyła, często niemal zupełnie osamotniona, w obronie praw całej Europy, wykazując konsekwencję, która zyskała jej na kontynencie olbrzymi autorytet i uznanie. Lecz z chwilą, gdy niebezpieczeństwo minęło, a Anglia przebrnęła zwycięsko przez trudności, zdawałoby się nie do pokonania, brytyjscy mężowie stanu nie umieli, na skutek braku zaufania we własne siły, objąć tego przewodnictwa w zespole europejskim, jakie by się Wielkiej Brytanii słusznie należało, tak ze względu na jej przeszłe osiągnięcia, jak i możliwości przyszłe.

„Historia będzie musiała kiedyś podkreślić ze zdziwieniem, że po upadku Napoleona Anglia nie zdawała sobie zupełnie sprawy z obowiązków, ale też i z korzyści położenia, w które postawiło ją zwycięstwo. Nie tylko nie odegrała ona roli, do której była powołana, ale można powiedzieć, iż nie odegrała w ogóle żadnej roli".

Uczyniwszy olbrzymi wysiłek dla przebrnięcia przez trudności udzielenia pomocy innym członkom koalicji, w chwili zwycięstwa nie miała nic do powiedzenia w sprawie organizacji kontynentu europejskiego. Fakt ten książę Adam tłumaczy zmęczeniem i wyczerpaniem wojną, które spowodowało, iż fala pesymizmu zalała wyspy brytyjskie, każąc wierzyć odpowiedzialnym przywódcom narodu, iż kraj zbiedniały na skutek wojny nie może pozwolić sobie na zbyt ryzykowną politykę. Tymczasem wbrew przewidywaniom pesymistów i obawom optymistów najbliższe lata przyniosły Anglii wielką rewolucję gospodarczą i społeczną, która stwarzając nowe podstawy bagactwa, wywołała jednak daleko idący ferment i przetasowanie struktury społecznej, w której wyniku rządząca warstwa arystokratyczno-ziemiańska przepoczwarzyła się na skutek uzupełnienia i przemieszania z tym, co dzisiaj nazywamy sferami gospodarczymi, wytwarzając odnowioną warstwę rządzącą. Te przemiany, stwarzające nowe możliwości gospodarcze i nowe źródła potęgi, w wyniku jednak przemian społecznych przeszkodziły, zdaniem księcia, w podjęciu się przez Wielką Brytanię tej roli, do jakiej była predestynowana.

Pomimo tego Anglia była na kongresie tym państwem, które najsilniej podkreślało prawa innych narodów ustanowienia konstytucji najbardziej odpowiadającej instynktom i tradycjom poszczególnych państw i sprzeciwiała się interwencji późniejszego „świętego przymierza" w wewnętrzne sprawy poszczególnych narodów.

Wielki naród brytyjski — pisze autor „Essay'u" — odznacza się tymi wszystkimi zaletami i wadami, które wypływają z faktu, że miliony jednostek składające się na ten naród zostały uformowane z tej samej gliny: ministrowie, wielcy panowie, politycy, mówcy, uczeni, literaci, kupcy, sklepikarze, przemysłowcy czy robotnicy — wszyscy oni i każdy z osobna, gdy postawieni w najbardziej rozmaitych sytuacjach, działają w ten sam sposób, podobnie myślą i zdradzają podobne odruchy zawsze mając na myśli interes narodowy, którego nigdy nie są zdolni stracić z oczu. I to stanowi elementarną siłę Anglii. Z punktu widzenia jednak świata zewnętrznego tendencja angielska mieszania się i wydawania wyroków na innych, przy jednoczesnej tendencji do odosobnienia, a więc do rzucania sądów bez popierania spawy słusznej aż do chwili, gdy niesprawiedliwość nie zagrozi bezpośrednio interesom brytyjskim, jest i była w przeszłości jedną z gróźb Europy. W normalnych czasach Anglia nie docenia swej siły, a świadomość jej możliwości narzucana jej jest przez konieczność stawiania czoła niebezpieczeństwom. Stąd też — stwierdza autor „Essay'u" — okresy pokoju są okresami słabości Anglii, a okresy słabości Anglii są chwilami niebezpieczeństwa Europy.

Spoglądając na kontynent europejski książę Adam trafnie przewidział wielką rolę Stanów Zjednoczonych w przyszłym świecie, widząc w nich potencjalnego obrońcę zasad wolności i sprawiedliwości. „Nowy Świat — pisze — głosi zasady, po których możemy sobie wiele obiecywać, a doktryny, których źródłem jest gabinet waszyngtoński, zdają się otwierać nową erę historii dyplomacji".

Wiele miejsca poświęca autor „Essay'u" Rosji i jej roli w świecie.

Uwagi jego są tym ciekawsze, iż całe życie księcia było funkcją stosunku do Rosji. Poprzez kampanię r. 1792 „internowanie" na dworze Katarzyny, adiutanturę przy Aleksandrze, z której wynikła przyjaźń z młodym następcą tronu, a następnie carem Wszechrosji, posłowanie na dworze sardyńskim, a następnie poprzez piastowanie w ciągu dwu lat teki rosyjskiego ministerstwa spraw zagranicznych, a potem przez lat niemal dziesięć doradcy politycznego i dyplomatycznego cara, stosunek księcia wobec Rosji przechodzi fazę opozycji, aby przerodzić się nolens volens w otwartą walkę, do której zmuszą go wypadki powstania listopadowego, a potem emigracja. Tak więc w ciągu 90 przeszło lat życia książę przeszedł przez fazy zmian rewolucyjnych — żołnierza walczącego z Rosją, zakładnika, polityka próbującego współpracy z nią i pojednania, opozycjonisty, a wreszcie członka rządu rewolucyjnego, by stać się w ostatniej fazie swego życia przywódcą ruchu emigracyjnego, ruchu politycznego nadzieje swe opierającego na zbrojnej interwencji mocarstw europejskich przeciwko Rosji. Głębokie studia i dogodność punktu obserwacyjnego pozwalały księciu na zdobycie głębszej i szerszej znajomości zagadnienia, niż mógł ją mieć jakikolwiek dyplomata współczesny. Nie będąc Rosjaninem miał możność potrzeć na Rosję i Rosjan z bliska, niemal od wewnątrz, dostępne mu były wszystkie dokumenty państwowe, niemal wszystkie tajemnice stanu. Stąd też był on w możności formułowania opinii, których autorytet jest z natury rzeczy większy niż któregokolwiek ze współczesnych obserwatorów. To jedna strona medalu. Z drugiej strony był on, jak wielu z tych, co raz zawędrowawszy na bezmierne obszary Rosji podświadomie a nawet wbrew swej woli ulegają jej fascynującemu wpływowi: złowrogi ten czar nie opuszcza go nieraz tak w chwilach, gdy szczerze pragnie współpracy z narodem rosyjskim jak i wówczas, gdy zmuszony jest przeciwstawiać się zaborczym dążeniom Rosji. Jest w tym coś z przyciągania wielkiej masy jak i kuszenia otchłani. Związek z Rosją ciążył dlatego na księciu przez całe życie. Pod jej naciskiem albo w walce z nią rozwijało się całe jego życie.

Gdy pod wpływem zmiany orientacji polityki rosyjskiej i porzucenia przez Aleksandra realizacji układanych wspólnie z księciem planów dotyczących Polski Czartoryski po dwóch latach ministrowania, w r. 1806, ustępuje ze stanowiska ministra spraw zagranicznych, składa carowi „Memoriał o systemie politycznym, jakiego trzymać się winna Rosja". W memoriale tym formułuje autor, jeszcze wówczas łudzący się możliwością współpracy, ideę związku Polski z Rosją, na podstawie systemu, w którym by istniała harmonia przyrodzona między prawem słuszności a interesem „obu krajów". Harmonię tę dostrzegał w szanowaniu praw narodowych Polski, zagwarantowanych konstytucją i dostosowania polityki zewnętrznej imperium rosyjskiego do nowych założeń. Memoriał stwierdza, iż probierzem szczerości postawy rosyjskiej wobec Europy jest jej stosunek do Polski. Ta sama idea przewodnia podjęta jest w „Essay'u".

„Pojawienie się Rosji w Europie, pożądane i potrzebne pod warunkiem przestrzegania przez nią prawa słuszności i sprawiedliwości, stało się fatalnym źródłem nowych komplikacji w wyniku dokonanych przez nią aktów agresji...". „Rozszerzywszy swe panowanie na południe i na zachód, będąc z natury rzeczy niedosięgalną ze wschodu i z północy Rosja stała się źródłem stałej groźby dla Europy...".

Czy zdobycze jej uzyskane na terenie Polski stały się dla Rosji źródłem siły? — pyta autor „Essay'u". Przecież Rosja nie potrzebuje ani nowych terytoriów, ani nowej ludności, która rośnie w tempie równym zaludnieniu Stanów Zjednoczonych. Opanowanie Polski — pisze Czartoryski — nie jest również konieczne dla zapewnienia Rosji możności decydującego wpływania na losy Europy. Rosja będąc kontynentem sama w sobie, i to kontynentem rozporządzającym nieprzebranymi zaso-

(Dokończenie art. na str. 4.)

*) Polityka jest cnotą, a cnotą polityki jest sprawiedliwość.

JAN ULATOWSKI

EUROPA PODZIEMNA

Europa Podziemna datuje się od chwili, gdy Hitler stworzył swoje imperium. Europa Podziemna nie jest ruchem społecznym, ale ruchem politycznym. Cele, które sobie ten ruch stawia, to ani walka klas, ani taki czy inny program reform społecznych — tylko wolność polityczna narodu. Europa Podziemna jest ruchem politycznym o celach narodowych. Kto usiłuje używać sił Europy Podziemnej dla zastąpienia jednego najazdu drugim, dla podporządkowania narodów europejskich walczących z imperium Hitlera władaniu innego imperium — nadużywa Europy Podziemnej.

Czy z tego wynika, że Europa Podziemna pragnie po prostu powrotu do status quo? Często się jej to zarzuca — a właściwie nie jej, tylko jej reprezentantom na emigracji. Zwykle stwierdza się to z pewnym zniecierpliwieniem: świat wszedł w okres głębokich przemian zanim jeszcze zaczęła się wojna, a wojna bardzo te zmiany przyspieszyła; kto by dziś chciał przywracać przedwojenny stan rzeczy, cofałby wskazówkę zegara dziejowego i stworzyłby warunki, które musiałyby znowu doprowadzić do wojny.

Ostatnio doszło do tego, że wygrywa się ten zarzut dla skompromitowania — zasiedziałych nieco na emigracji — przedstawicieli Europy Podziemnej nie tylko wobec świata, ale nawet wobec samej Europy Podziemnej. Ze wszystkich ruchów podziemnych w Europie tylko jeden — francuski — umiał się tym bardzo przejrzystym sugestiom oprzeć z pewnym powodzeniem.

Francja wyraźnie pragnie powrotu do status quo i — rzecz szczególna — nikt jej z tego zarzutu nie robi, ale przeciwnie — wszyscy jej tego życzą. Gdy Anglosasi stwarzali pozory, jakby się temu chcieli sprzeciwić, Rosja poparła Francuzów. A nie chodzi tu bynajmniej o społeczne status quo, tylko o polityczne. Generał de Gaulle wcale nie czyni tajemnicy z tego, że pragnie w wyzwolonej Francji uniknąć przedwojennego bezhołowia, mimo że chce odbudować republikę (zastąpioną przez Petaina „państwem autorytatywnym".). W tym samym czasie, gdy Niemcy przeszkodzili Petainowi w przywróceniu republikańskiego parlamentu, pojawiły się w świecie anglosaskim głosy, że gen. de Gaulle ma skłonności do dyktatury i wcale nie rządzi demokratycznie. Tym zarzutom wtórowała także prasa sowiecka, zaskoczona sposobem, w jaki gen. de Gaulle rozwiązał u siebie udział komunistów w rządach.

Polityczne status quo mają obecnie zapewnione dwa podbite kraje: Francja (przynajmniej w zasadzie i ostatnio coraz bardziej oficjalnie i wiążąco dla aliantów) oraz Czechosłowacja, której Sowiety nie chcą ani rozbierać ani dzielić (jeżeli pominąć oddzieloną już przed wojną Ruś Podkarpacką, która ma być odebrana Węgrom i wcielona do Ukrainy). Największy rewizjonizm panuje w stosunku do Polski i Jugosławii. Na tym odcinku też najgorliwiej operuje się zarzutem o „reakcyjnych" tendencjach do status quo i usiłuje się stworzyć wrażenie, że ruchy podziemne tych krajów mają cele społeczne przede wszystkim, a nie polityczne czyli narodowe. Jeżeli chodzi o państwa bałtyckie, to nie uznaje się tam żadnych ruchów podziemnych; Litwa, Łotwa i Estonia uchodzą za problem rozwiązany: przez „plebiscyty" z roku 1940. Nie należy wątpić, że w sowieckiej strefie wpływów precedens państw bałtyckich stanie się wzorem dla rozwiązywania zagadnień politycznych także w innych krajach.

Zarzut o „reakcyjnej" tendencji powrotu do status quo nie jest więc zarzutem poważnym. Ma on charakter ryczałtowy i wybitnie... tendencyjny. Operuje się nim tylko w stosunku do krajów, które nie życzą sobie włączenia do sowieckiej strefy wpływów.

Ten nędzny zarzut nie wyczerpuje jednak listy uprzedzeń, jakie panują w świecie w odniesieniu do Europy Podziemnej. Ponieważ wojnę w Europie rozgrywały swoimi własnymi środkami na pozór tylko trzy mocarstwa: Anglia, Niemcy i Rosja — powstała w świecie skłonność do traktowania spraw europejskich pod kątem widzenia interesów tych trzech mocarstw. Niemcy przekreślono (oczywiście, nie wszędzie i nie całkowicie), bo to jest mocarstwo, które ma upaść. Pozostają Anglia i Rosja jako pretendenci do ziem europejskich. Podział Europy na dwie strefy wpływów wydaje się na tym tle rozwiązaniem naturalnym i przekonywującym. Jest tyle innych palących problemów na świecie, tyle innych granic i rynków zbytu znalazło się w stanie płynnym, tyle materiału wybuchowego leży w innych częściach świata, że przeciętny widz wojny europejskiej skłonny jest przyjmować dla Europy rozwiązania proste i przekonywujące.

Uprzedzenia, jakie panują w świecie w odniesieniu do spraw europejskich oraz do Europy Podziemnej — są skutkiem... braku propagandy. Europa Podziemna jest rozbita i nie zorganizowana, oto główna przyczyna zła. Wołaliśmy na tym miejscu nieraz o parlament wolnej Europy, o wspólną linię taktyczną, o wspólny program reorganizacji Europy, ale czas płynie, sprawa ta tonie w zamęcie, wytworzonym przez rozgrywkę anglosasko - sowiecką o Europę. Wszyscy uważają za rzecz naturalną, że ruchy podziemne w Europie powinny być biernymi narzędziami w ręku czy to Anglosasów, czy Rosji Sowieckiej, ponieważ są to mocarstwa „wyzwalające". Nikt nie chce zrozumieć, że istnieją formy „wyzwalania", które nie są niczym innym jak zakuwaniem w nowe kajdany.

Służba łączności oddziału Polskiej Armii Krajowej

Europa Podziemna nie jest zorganizowana, ponieważ poddała się sugestii z zewnątrz, że pojęcie „Europa" nie istnieje. Słowo „Europa" stało się synonimem niemieckiego imperium i to je skompromitowało. „Jedność Europy" jest hasłem propagandy goebbelsowskiej — to wystarczy, by go nie podejmować. Przejawiają się w tym zaniedbaniu dwie rzeczy — dwie rzeczy fatalne — z jednej strony prymitywizm myślenia politycznego, a z drugiej strony — ściśle z tym związany i może nawet stanowiący przyczynę owego prymitywizmu — europejski partykularyzm. Narody europejskie stały się ofiarami nie tylko Niemiec, ale rozgrywki totalnej o Europę, ponieważ nie potrafiły widzieć swych interesów w szerszym kontekście, ponieważ żyły z dnia na dzień reagując na wydarzenia światowe naskórkowo i raczej defensywnie. Ten stan umysłów w Europie umożliwił Hitlerowi zbudowanie jego imperium (jeszcze przed tą wojną, bo zdobycze Hitlera były tylko egzekucją wyroków, które zapadły znacznie wcześniej!) i ten stan umysłów — nie zmieniony doświadczeniami tej straszliwej wojny — umożliwia dziś wielkim mocarstwom traktowanie Europy wyłącznie jako teren rozgrywek w wielkiej grze o nowy podział świata.

Narodom europejskim brak świadomości, że muszą być w tej rozgrywce czynne, że muszą stać się partnerem mocarstw totalnych — nie każdego z osobna i według jego wyboru, ale wszystkich razem i nie każdy z osobna ani wtedy, gdy wielkie mocarstwa uznają to za stosowne, ale wszystkie razem. Istnieją poszlaki, że świadomość ta rodzi się w Europie i wolno wierzyć, że Europa Podziemna, która — jak to już dziś widać — nie przestanie istnieć z chwilą, gdy zakończone zostanie (owo tak odmienione dziś!) dzieło „wyzwolenia Europy", że Europa Podziemna stanie się wyrazem tej świadomości. Europa, to nie tylko ziemia europejska i nie tylko masy ludzi zgłodniałych i wydziedziczonych, które łakną pokoju i dostatku — Europa, to wola polityczna narodów europejskich, które zadowolą się mniejszą porcją pokoju i dobrobytu, byle uratować to, czego w walce podziemnej tak zawzięcie broniły — wolność!

Wielkie mocarstwa koalicji anty-niemieckiej prawdopodobnie odniosą zwycięstwo militarne, ale na pewno poniosą klęskę polityczną. Nie czynimy tu żadnego odkrycia, to ujęcie sprawy spotykamy od dwóch lat w całej publicystyce politycznej Anglii, Ameryki i krajów neutralnych. Ostrzegali przed tym nawet wybitni mężowie stanu, żeby wspomnieć choćby wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych Wallace'a który z tego powodu przewidywał „wojnę światową nr 3", Wendell Willkiego i marszałka Smutsa. Lecz we wszystkich tych analizach popełniono jeden kapitalny błąd, który mści się straszliwie: ulegając sugestii Wersalu, a więc klęski politycznej, jaką zwycięskie mocarstwa poniosły po tamtej wojnie — dostrzega się niebezpieczeństwo ponownej klęski politycznej w groźbie... nowego imperializmu niemieckiego. W pewnym sensie jest to intuicja trafna, bo klęskę polityczną aliantow wyzyskają przede wszystkim Niemcy, ale aspekt ten nie jest kompletny i nie wyczerpuje zagadnienia.

Uchwały, jakie zapadły na zeszłorocznej konferencji Stalin-Roosevelt-Churchill w Teheranie — choć nie albo nie wiele o nich wiadomo — uchodzą za ów kamień filozoficzny, który ma rozwiązać cały problem europejski i uchronić aliantów od ponownej klęski politycznej... po zwycięstwie militarnym. Niestety, Teheran był typową zasłoną dymną — żeby nie powiedzieć: bluffem—za którym ukrywa się chaotyczne i niczym nie regulowane przegrupowanie sił... do nowej wojny. Teheran nie był rozwiązaniem, był kompromisem, kompromisem między Anglosasami a Rosją. Po pięknych hasłach Karty Atlantyckiej i znacznie mniej wyraźnych hasłach „czterech wolności", po tylu kazaniach pod adresem „tyranów", „totalizmów" i „imperializmów", po całym tym podejrzanym upojeniu szlachetnymi frazesami — nadszedł okres trzeźwości, która wyraziła się w najtrywialniejszej formie — w panicznej ucieczce ku kompromisom. W tej atmosferze żyjemy od roku. Jest to atmosfera bezradności — niestety jednostronnej! — atmosfera zupełnej kapitulacji woli i myśli demokratycznej, atmosfera moralnego katzenjammeru.

A nadchodzą czasy, gdy człowiek z obwiązaną głową i miękkimi kolanami nie będzie typem działacza zdolnego do konstruktywnych decyzji. Jeżeli katzenjammer — powtarzamy: niestety jednostronny — nie minie, możemy oczekiwać dalszych i zupełnie nowych kompromisów, które nie będą ani pokojem, ani zdrowym ugrupowaniem sił do jakiejś ostatecznej rozgrywki, ani nawet tym, czym według marszałka Smutsa wojna ta ma się skończyć — zawieszeniem broni. Rozejm powszechny, którego jesteśmy bliżsi, niż się wydaje — a który w każdym razie winien być brany w rachubę przez Europę Podziemną, bo jest śmiertelną groźbą dla narodów europejskich — byłby zarazem klęską polityczną i militarną aliantów, byłby zaprzepaszczeniem całego dorobku wojny i kapitulacją demokracji.

Teheran ujawnił bezgraniczny i ślepy egoizm wielkich mocarstw. Wszystko, co po tej konferencji nastąpiło, dowodzi tej prawdy w sposób niezbity. Los Finlandii, państw bałtyckich, Polski, Jugosławii, Grecji, w pewnym sensie Włoch, a także ukryty jeszcze przed wzrokiem śmiertelnych los Turcji — to wyraźne i głębokie ślady na drodze, którą od roku kroczy Golem tego egoizmu. Jak to słusznie stwierdził redaktor „Nineteenth Century" Voigt — „Teheran przedłużył wojnę, chociaż miał ją skrócić". W Teheranie miano uzgodnić politykę wielkich aliantów wobec Europy, a więc ułożyć plan, jak pokonać Niemcy i co zrobić ze spadkiem po nich, ale osiągnięto tylko prowizoryczny rozejm interesów anglosaskich i sowieckich.

Ujawnione w późniejszych o świadczeniach (zwłaszcza Churchilla, ale także Hulla) uchwały teherańskie nie zawierały — poza zobowiązaniem otwarcia „drugiego frontu" i zasadniczą zgodą co do podziału Europy na strefy okupacyjne — nic pozytywnego. Zasada „popierania każdego, kto walczy z Niemcami" rozpętała na nieznana dotąd w dziejach skalę interwencję jednego z mocarstw w sprawy innych krajów i wywołała w Europie sztuczne zarzewie wojny domowej, a ogólnikowa zgoda na strefy okupacyjne spowodowała zaciętą walkę o strefy wpływów i uczyniła narody europejskie obiektem obrzydliwych i dla przyszłości tych narodów katastrofalnych przetargów. Konferencją teherańska miała być konferencją anty-niemiecką,, a stała się konferencją anty - europejską. Zamiast „planu odbudowy Europy" stworzono plan podziału Europy. Ale i tego planu nie wykończono, jak to widzimy choćby na przykładzie nieszczęśliwej Grecji.

Europa, która nie chciała i nie chce być dominium niemieckim, ma się stać kondominium anglosasko-sowieckim, a w rezultacie olbrzymim przedpolem (jest nim już dziś!), pustynią dzielącą dwa niesyte kolosy. Narody Europy, które wyciągnęły dłoń do wzniośle trelujących wielkich demokracji, by uzyskać pomoc przeciwko niemieckiej pożądliwości, mają sobie własnymi rękami kopać grób. Czyż mogły przewidywać — gdy dumnie odrzucały „wspaniałomyślne" propozycje Hitlera — że wpadną z deszczu pod rynnę, że nie unikną losu, który szykował im Hitler, że aby los ten sobie zapewnić, będą musiały krwawić się i męczyć w beznadziejnych zmaganich z hilerowskim kolosem? Nie miały prawa tak przewidywać, ponieważ nie miały prawa wątpić w ducha europejskiego, z którego wyrosła zarówno Anglia, jak i Ameryka! Ale za to mają dziś prawo domagać się, by wielkie demokracje wyrównały rachunek, jaki im prezentuje walcząca o swoją wolność Europa!

Grożąca aliantom nowa klęska polityczna będzie czymś więcej, jak groźbą nowego imperializmu niemieckiego — ta klęska pociągnie za sobą oderwanie się Anglosasów od korzeni kultury europejskiej, będzie ona matkobójstwem bezprzykładnym w dziejach. A nie ma precedensu w historii, by naród, który oderwał się od korzeni swojej kultury, nie osłabł i nie rozłożył się, wydany w ten sposób na pastwę nowych, barbarzyńskich cywilizacji i młodych, ofensywnych narodów. Złe rozwiązanie problemu europejskiego powali nie tylko imperium brytyjskie, ale także — niedojrzałą jeszcze — strukturę polityczną Stanów Zjednoczonych. Złe rozwiązanie problemu europejskiego będzie dobre tylko dla tego, kto w Teheranie nie przeżył katzenjammeru, nie chodzi z obwiązaną głową i pod kim nie uginają się kolana. A jest to cywilizacja nowa, barbarzyńska i naród młody, ofensywny.

Dobre rozwiązanie problemu europejskiego — a więc rozwiązanie w duchu europejskich tradycji, w duchu wolności narodów — jest warunkiem już nie uniknięcia klęski politycznej tylko, ale warunkiem dalszej egzystencji Anglii i Ameryki.

Szermując swoim „bohaterskim wkładem w wojnę z Hitlerem" Sowiety usiłują z Anglosasów uczynić wspólników w dziele rozłożenia Europy na elementy, z których można by w przyszłości zbudować nie tylko nową Europę (to słowo stanie się wówczas pojęciem czysto geograficznym), ale nowy świat, nową cywilizację, która wchłonie wszystkie kraje i kontynenty. Jeżeli Anglosasi mogą się dziś pocieszać, że klęskę Niemiec zawdzięczają wyłącznie swojej

(Dokończenie na str. 4.)

WŁODZIMIERZ LEDÓCHOWSKI

BARYKADA ULICY ZWYCIĘZCÓW

(Z obrony Warszawy we wrześniu 1939 r.)

Wybrałem się któregoś popołudnia grudniowego z Eustachym na Saską Kępę. Mimo spóźnionej pory, jesień tego roku była nad podziw pogodna i ciepła, a Warszawa widziana z praskiego brzegu maskowała za przejrzystą mgiełką swoje nieuleczalne rany. Może to blade słońce grudniowe i cisza zamarłych ulic sprawiła, że doszedłszy do rogu ulicy Zwycięzców i Wału Międzeszyńskiego — na miejsce, gdzie przed dwoma miesiącami stała moja barykada — stanąłem zdumiony. Nie uwierzyłbym dziś, że to tu, tak niedawno, w scenerii płomieni i zgiełku bitewnym odgrywała się cząstka tego dramatu, któremu na imię jest Obrona Warszawy. Po barykadzie śladu już nie ma, okop zasypany liśćmi opadłymi z drzew zlał się z grzędami ogrodów. Tylko w rogu, u zbiegu obu ulic, jeszcze mój cmentarzyk istnieje i kołebią się na wietrze hełmy pozatykane na krzyże. Hełmy z wyrytymi przeze mnie nazwiskami poległych. Niewielu ich tu leży. Tylko czterech — na stan sześciu ludzi obsługi artylerii barykady na ulicy Zwycięzców.

„Ten hełm — mówiłem do Eustachego odczytując nazwisko Mojżesza Weinberga — należał do mojego najdzielniejszego żołnierza. Zginął ostatniego dnia oblężenia i gdy mu pogrzeb wyprawiłem, było mi trochę głupio. — Bo Mojsie miał Żydówkę — ot widzisz w tej willi — zdaje się służącą — w której się kochał. Jej dom stał wówczas w terenie niczyim, między naszymi liniami a Niemcami. Żydóweczka o zmierzchu przynosiła co dnia jakieś frykasy, kiełbasę, placki gorące, którymi Mojsie obdzielał nas wszystkich. Strasznie czułe oczy do niego wywracała, a Mojsie przyznał mi się którejś nocy, że jak tylko Niemcy odstąpią od Warszawy, on się z nią ożeni.

„W dzień straszliwego bombardowania Waszawy — to było zdaje się 24 września — mieliśmy na barykadzie spokój od Niemców. Artyleria ich nie strzelała nie chcąc psuć sobie widowiska płonącego miasta. Korzystając z tej ciszy pozwoliłem Weinbergowi wpaść na pół godziny do narzeczonej. Było to pod wieczór. Mojsie na noc nie wrócił.

„Myślałem, że zdezerterował, ale gdy rankiem następnego dnia przyszedł z koszem pełnym gorących placków, które noc całą piekł z narzeczoną, złość moja stopniała w zapachu świeżego pieczywa.

„Weinberg — jak tylko się skończy oblężenie i Szwabów przepędzimy, pójdziecie na siedem dni do paki za spóźnienie, teraz za karę obejmiecie posterunek obserwacyjny przez trzy zmiany".

„Mojżesz przyjął mój wyrok ze stoickim spokojem i wziąwszy lornetkę stanął na wyznaczonym stanowisku. Zadowolony kwietyzm zapanował na mojej barykadzie. Kwietyzm wygłodniałych żołądków żołnierskich, które prócz konfitur z róż, zrabowanych z pobliskiego sklepu Pakulskich, nie trawiły już od dawna tak solidnego pożywienia. Niemcy milczeli — pożary dogasały po wczorajszym piekle bombardowania na lewym brzegu warszawskim.

„Wtem Weinberg drgnął. — Panie poruczniku — szepnął — niechno pan porucznik spojrzy przez lornetkę. Te krzaki jakby się ruszały. Czy nie? —

„Wziąłem od niego lornetkę. Istotnie coś się poruszyło w zaroślach ogrodów, w lewo od Wału Miedzeszyńskiego — jakieś 300 metrów od mojej barykady.

„Ki — licho — myślałem wytężając wzrok. Jakby ktoś krzaki rozgarniał i przycinał gałązki dla zrobienia sobie lepszego wglądu.

Na punkcie opatrunkowym Polskiej Armii Krajowej

„— Józek — poślij no tam seryjkę — rzuciłem rozkaz podoficerowi karabinów maszynowych.

„Ale nim zdążyłem szkła od oczu oderwać, padł z tamtej strony — dokładnie od kierunku poruszających się zarośli — strzał armatni.

„Błysk, huk i moje usta otwarte do rozkazu pluły piach nabity podmuchem eksplozji.

„Strzał krótki — dwa metry krótki, parę worków obsunęło się, jakieś miny chroniące nas od strony nieprzyjaciela wyleciały w powietrze — po chwili dym się rozwiał i cisza.

„Drugi strzał przeszedł nam tuż nad głowami i utkwił w drewnianych barakach plaży Kozłowskiego, do którego przytykała prawym skrzydłem moja barykada.

„Strzał długi — słup ognia wystrzelił za chwilę z drewnianej konstrukcji, cały budynek stanął w płomieniach.

„Teraz przyjdzie trafny — rozumowałem — musi przyjść trafny. Widocznie Niemcy podtoczyli w nocy szosą miedzeszyńską działo na odległość 300 metrów od barykady— ot widzisz za tym zakrętem — mówiłem Eustachemu prowadząc go w stronę zarośli — no i jasne było dla mnie, że trzecim strzałem rozwalą mi barykadę w drzazgi.

„Przeszedłem wtedy złą chwilę. Wahałem się z decyzją. Pokusić się o to, żeby z mojego działa odpowiedzieć, czy wstrzymać się? Jeśli spudłuję i jednym strzałem nie zniszczę tej armaty niemieckiej, to własnym błyskiem zdradzę położenie mojego działa i jeszcze pogorszę sytuację. Mój pierwszy strzał musi być trafny, bo ich trzeci trafny będzie z pewnością.

„Weinberg — rzucam rozkaz — podczołgajcie się dwadzieścia metrów w prawo, zobaczcie, czy stamtąd nie widać szwabskiego działa. Dwóch ludzi za siekiery, rąbać ten barak, nie puszczać mi ognia do barykady".

„Tymczasem sytuacja stawała się coraz groźniejsza, ogień zbliżał się z szatańską iście szybkością do naszego stanowiska.

„Panie poruczniku — rzuciłem się w stronę dowódcy piechoty, niech pan da mi ludzi do gaszenia pożaru, bo za pięć minut ja się tu z moimi ludźmi upiekę żywcem".

„Widzę, że piechociarz wyznacza ludzi do gaszenia. Nie idą — ociągają się — kto się wychyli spoza zasłony worków, dostaje serię z karabinów maszynowych niemieckich. Pierwszych dwóch śmiałków już leży we krwi nie dobiegłszy do pożaru.

„Porucznik piechoty sam chwyta za siekierę i biegnie. Przykład działa. Siekiery rąbią nawpół zgniłe kabiny plaży.

„— Jak tam Weinberg, widać Szwabów? — wołam.

„— Widać panie poruczniku ,jak na dłoni".

„Jestem przy nim. Widzę Niemców za zakrętem szosy, widzę działo skierowane wprost na nas, widzę wyraźnie, że wycelorem coś wybijają od przodu lufy. Rozumiem, zaciąćie — i to jest powodem, dla którego nie ma dotąd trzeciego strzału".

„Wracam do mojego działa. Idę krok za krokiem, notując w pamięci po gałązkach drzew idealną linię od wylotu mojej do ich lufy. Przecie to tylko 300 metrów. Ten pojedynek na taką odległość musi się skończyć szybko. Albo oni, albo my. —

„Celowałem długo przez lufę, bo przyrządy celownicze zasypane piachem nie dawały jasności obrazu, celowałem po listkach, wyuczonych na pamięć. Załadowałem sam działo, zamknąłem zamek i prostując się by odpalić spojrzałem na moich chłopców. Zauważyłem, że koło mnie, tuż za mną stoi jak trup blady Weinberg.

„— Panie poruczniku — na miłość Boga, pan porucznik wycelował wprost w okno mojej narzeczonej".

„Zawahałem się sekundę, trzymając w ręku sznurek od spustu. Pociągnąłem — strzał poszedł, potem drugi i trzeci, wszystkie na tym samym celowniku.

„Strzelać dalej, kośba dwa obroty w lewo — po dwa, w prawo trzy".

„Skoczyłem do lornetki. — Po tamtej stronie huk, błysk ognia i pióropusz dymu wypełzający ponad korony drzew ogrodów.

„Dość! — przerwij ogień — krzyknąłem nie mogąc tchu złapać z rozsadzającego mnie uczucia triumfu.

„Pojedynek był wygrany.

„Mimo chwilowej jednak ciszy, jaka zapanowała po stronie niemieckiej na widok ich działa wylatującego w powietrze, karabiny maszynowe zaczęły znów grać i to ze zdwojoną energią i widoczne było, że Niemcy wcale nie rezygnują z zamiaru zdobycia barykady. Pożar, na chwilę opanowany, przybliżył się tymczasem tak znacznie, że ledwo z żaru wytrzymać było można, a worki na barykadzie zaczynały gdzieniegdzie się tlić.

„Porozdzielałem ludzi do ewakuacji amunicji od strony ognia, do czerpania wody z Wisły dla polewania worków, a sam biegłem co chwilę do aparatu telefonicznego zainstalowanego w tym czerwonym budynku — błagalne wysyłając meldunki do dowództwa batalionu.

„Pożar mnie wygania, nie mogę wytrzymać — nie utrzymam barykady — przysyłać posiłki!"

„Moi kanonierzy chlustali wodą na worki, rąbali wściekle siekierami, tę nieszczęsną budę, ale mimo tej rozpaczliwej walki na dwa fronty wydało się, że już nic nie zahamuje straszliwego żywiołu przed kompletnym zniszczeniem barykady.

„I była taka chwila, że ogień zaczął lizać mój schron amunicyjny. Dostrzegłem tylko, że Mojsze wyskoczył na dach nakrywający schron i szerokim rozkołysem ramion wylewa podawane mu wiadra.

„Przecież to czyste szaleństwo — mruknąłem wściekły do siebie. Weinberg! — zawołałem starając się przekrzyczeć łoskot pożaru i wrzawę bitwy — złaź zaraz idioto stamtąd, przecie cię ustrzelą jak kaczkę".

„Ale nim dobiegłem do niego, by go ściągnąć — padł.

„Padł prosto w moje ramiona.

„Nie powiedział nic, gdym go kładł na ziemi, zdala od nieznośnego żaru. Może nie mógł. Ale wiem, że uśmiechnął się do mnie i że chciał mi tym wyrazić, że nie bierze ze sobą, tam dokąd idzie, żalu do mnie za to, żem w okno pokoju jego narzeczonej wycelował".

„Co się z nią stało?" przerwał mi Eustachy.

„Nie wiem, nazajutrz było zawieszenie broni".

„Nie przyszła?"

„Nie... może nie mogła... ten dom zajęty był przez Niemców — a ona Żydówka — może jej nie pozwolili!".

Patrzałem na Eustachego. Wzrok jego skierował się na widoczny stąd, gdzie staliśmy, dom, ziejący czarnymi otworami wybitymi przez moje granaty. Jakaś bardzo oczywista myśl przeszła mu nagle przez głowę, bo zrobił krok do przodu w kierunku tamtej willi i powiedział:

„No, więc chodźmy, to się teraz o nią..." ale tu spojrzawszy na mnie przerwał rozpoczęte zdanie i poprawił się, wyraźnie zmieszany.

„Chodźmy do domu. Żołnierze niemieccy się tu kręcą. Zdaje się, że nas obserwują. Jeszcze nas zaczepią. Chodźmy do domu".

TESTAMENT

(Dokończenie ze str. 2.)

bami w ludziach i w surowcach, winna raczej skłaniać swych władców do zajęcia się uprzystępnieniem i eksploatacją wszystkich tych bogactw naturalnych z pożytkiem swej ludności. Koncentrując się więc na sprawach i problemach rozbudowy wewnętrznej, a otaczając się przyjaznymi i lojalnymi sojusznikami, Rosja może niezmiernie zwiększyć swój wpływ i autorytet, zabezpieczyć trwale swe interesy nic nie tracąc ze swej siły. Dobry i lojalny przyjaciel — pisze on — jest na dłuższą metę zawsze więcej warty niż niewolnik. „Un ami vaut miex qu'un esclave".

Zdając sobie sprawę z niebezpieczeństwa pruskiego nie tylko dla Polski, lecz i dla całej Europy, książę Adam ostrzega w swym „Essay'u" przed groźbą tkwiącą w możliwości rozrostu potęgi pruskiej i żąda likwidacji Prus Wschodnich przez włączenie ich do Polski, której przyszłość widzi w podjęciu idei jagiellońskiej i objęciu roli przewodniej wśród narodów Europy wschodniej i środkowej. „Europa — pisze — potrzebuje w tym rejonie państwa, które przez swój charakter i swój skład nie mogłaby być niczym innym jak tylko siłą defensywną. W interesie Europy leży, by państwo to okrzepło i stało się trwałym czynnikiem równowagi europejskiej".

Uważając urzeczywistnienie tego planu za możliwe książe powołuje się na współżycie polsko-litewsko-czesko-węgierskie, wysuwając jednocześnie konieczność przyciągnięcia narodów bałkańskich do współpracy z tą federacją.

Taki jest testament polityczny dyplomaty polskiego XIX wieku, pozostawiony nam w spadku po 50 przeszło latach pracowitego życia.

Adolf Nowaczyński, z właściwą mu skłonnością do przesady, zwykł był twierdzić, że historia uczy jednego, a mianowicie, iż nikogo niczego jeszcze nie nauczyła. Wbrew tej, raczej odosobnionej, opinii, inteligencję jednostek i narodów skłonni jesteśmy oceniać w miarę zdolności korzystania z doświadczeń. Nie żyjemy przecież na próżno.

M. K. Dziewanowski

EUROPA

(Dokończenie art. ze str. 3.)

przewadze materialnej, swoim niewyczerpanym rezerwom i jeżeli skłonni są wszystkie kampanie tej wojny do r. 1944 traktować wyłącznie jako etapy ich własnej taktyki, która pozwoliła im zyskać na czasie i rozbudować wzgl. zaktywizować ich potencjał zbrojeniowy — jeżeli nawet mogą pocieszać się, że ostatni ich ukłon w kierunku moralności wyrażony w — jakże obłudnej! — koncesji, że Rosji coś się „należy", bo tyle cierpiała, jeżeli pocieszają się, że ten ukłon może w pewnej chwili przestać obowiązywać — i jeżeli z tradycyjnym anglosaskim sceptycyzmem i utylitaryzmem widzą w tej wojnie jeszcze jeden dowód na ich przekonanie, że wojny można wygrywać bez ideologii politycznej (jak np. wygrano już jedną wojną przeciwko kontynentowi — wojnę z Napoleonem) — niech pamiętają, **że wygrana** wojna nie stanowi o wygraniu pokoju, że jeżeli wojnę można prowadzić bez ideologii, to porządku powojennego nie można tworzyć bez ideologii. Nowej barbarzyńskiej cywilizacji trzeba coś przeciwstawić, a w tym celu trzeba jej chciec coś przeciwstawić!

W bohaterskim oporze Europy Podziemnej nie przejawia się duch nowej barbarzyńskiej cywilizacji — jak to światu usiłują wmówić i jałowi intelektualiści anglosascy, którzy patrzą na Europę z wyżyn swego iluzorycznego bezpieczeństwa — w oporze Europy Podziemnej odzywa się głos starego ducha kultury europejskiej, który nie zamarł pod butem Hitlera i nie nikczemnieje pod „plebiscytami" sowieckimi, ale żyje i rozwija się, krzepnie i hartuje się, rośnie i pogłębia się tragicznie w straszliwych doświadczeniach tej najgorzej prowadzonej wojny w dziejach.

Jest bardzo prawdopodobne, że Anglosasi — którzy tak łatwo prowadzili obecną wojnę i tak panicznie boją się trudu, jaki pociągnęłoby za sobą lepsze jej prowadzenie — nie odnajdą ścieżki, która prowadzi ku Europie prawdziwie wolnej. Jest możliwe, że po tej wojnie — albo po pierwszym etapie tej wojny — stworzone zostaną warunki, które uczynią z Europy podziemnej instytucję stałą, tak jak Polska Podziemna była instytucją stałą pod systemem Świętego Przymierza i dziś na nowo się nią staje. Ryzykując taki stan rzeczy — który wolno im bagatelizować i lekceważyć, bo to na pozór nie o nich chodzi — alianci powinni jednak pamiętać, że narażają się w ten sposób na niebezpieczeństwo, którego właśnie najbardziej i najpraktyczniej pragną uniknąć — na niebezpieczeństwo odrodzenia się imperializmu niemieckiego. Himmler już dziś szykuje podziemny hitleryzm. Jeżeli Europa — zamieniona w kondominium pozaeuropejskich mocarstw — będzie zmuszona zejść w podziemia, spotka się tam z potężnym hitleryzmem podziemnym, a należy wątpić, czy — po doświadczeniach naziemnej z nim walki i po wyniku tych zmagań — będzie chciała go jeszcze i wtedy zwalczać!

Jan Ulatowski

NASTROJE PRZESILENIOWE

(Przegląd prasy włoskiej)

Przyjazd premiera Churchilla do Włoch, przekazanie przez alianckie władze wojskowe administracji w Rzymie w ręce rządu włoskiego, zawarcie przymierza partyjnego między komunistami a socjalistami włoskimi, połączenie stronnictwa liberalnego (Benedetto Croce) ze stronnictwem demokracji liberalnej (Orlando) — wszystkie te fakty wywołały znaczne ożywienie w życiu politycznym we Włoszech. Świadczą one o ciągłym szukaniu wyjścia z sytuacji zmąconej, która nie daje nikomu satysfakcji. Pogłoski o ewentualnej dymisji Bonomiego, którego zastąpiłby rząd b. premiera z czasów tamtej wojny Orlanda, były dość rozpowszechnione w prasie.

Pisma o tendencji lewicowej i radykalnej oskarżały „reakcję" o prowadzenie ofensywy przeciw gabinetowi Bonomiego i o zamiar wytworzenia silnego bloku „prawicowo-konserwatywnego". I tak np. „L'Italia Libera" (organ stronnictwa „Akcji") oskarżało partię demokracji liberalnej o tendencje „reakcyjne" i twierdziło, że w skutek połączenia się tej partii ze stronnictwem liberalnym, na którego czele stoi prof. Croce, powstała nowa partia, która właściwie powinna nazywać się „stronnictwem konserwatywnym".

Ten sam jednak organ stronnictwa „Akcji" wypowiedział się również przeciw sojuszowi socjalistyczno-komunistycznemu widząc w nim zalążek „frontu ludowego" we Włoszech.

„Mało osób we Włoszech — pisała „L'Italia Libera" — wie, co oznacza tzw. polityka „jedności działania". Wysunięta ona została po raz pierwszy przez Dimitrowa na VII kongresie międzynarodówki komunistycznej w r. 1936. Zgodnie z tą nową taktyką, wyrażoną w powyższym haśle, ustały systematyczne napaści komunistyczne na demokratycznych socjalistów jako na „socjal-faszystów". Starano się natomiast utworzyć blok złożony z sił socjalistycznych i komunistycznych, które przez połączenie z innymi partiami (tzw. „fronty ludowe") opanowałyby ruchy antyfaszystowskie, rozwinęłyby je, utrzymując wśród nich zalążki marksizmu. Politykę międzynarodówki socjalistycznej można by określić w ten sposób: Poprzez formułę „jedności działania" opanować ruchy marksistowskie, a poprzez działania marksistów w łonie „frontu ludowego" wywrzeć wpływ na wszelkie ruchy demokratyczne rozszerzając stopniowo tą drogą krąg swoich wpływów. W centrum zaś kręgu, jako motor działania, pozostawałaby silna inicjatywa komunistyczna".

Kierując się tymi wytycznymi komuniści włoscy usiłują nawiązać jak najlepsze stosunki nie tylko z socjalistami, ale również z Chrześcijańską Demokracją. Stronnictwo to zajmuje centralne położenie w życiu politycznym Włoch. Określa się ono jako partia środka i mas. Na masy te partia komunistyczna chciałaby uzyskać wpływ przez wytworzenie powiązań politycznych z Demokracją Chrześcijańską. Bardzo charakterystyczne z tego punktu widzenia były gwałtowne zaprzeczenia partii komunistycznej, którą jedno z pism włoskich oskarżyło o zamiar tworzenia bojówek partyjnych i o plan osiągania swoich celów siłą. Partia komunistyczna „uroczyście" oznajmiła, że tego rodzaju metody działania są jej obce.. Partia chce działać demokratycznie...

Organ stronnictwa demokratycznego „Italia Nuova" podjęła się również polemiki z komunistami. Pismo to stwierdzało, że prawdziwa demokracja oznacza odrzucenie wszelkiej dyktatury, a nie tylko dyktatury faszystowskiej. Sojusz stronnictw pozamarksistowskich z partią komunistyczną prowadziłby do usunięcia faszyzmu, ale nie dlatego, by ustanowić wolność dla wszystkich stronnictw w ramach prawa, ale by ułatwić partii komunistycznej opanowanie państwa. Pismo to zapytywało, dlaczego wszystkich demokratów, którzy nie poddają się grze komunistycznej i domagają się wolności dla wszystkich stronnictw, nazywa się w prasie komunistycznej „reakcjonistami" i „faszystami"?. Dlaczego tymi epitetami obdarza się we Włoszech wszystkich, którzy utopijnej dyktaturze klasowej typu sowieckiego przeciwstawiają demokrację typu amerykańskiego, anglosaskiego lub szwajcarskiego?

„Komunistyczna partia włoska — pisała „L'Italia Nuova" — powinna pamiętać, że w ciągu ostatnich 25 lat komunizm nieraz walczył po tej samej stronie barykady, po której znajdował się nazizm i faszyzm. Partia ta powinna pamiętać, że demokraci anty-komunistyczni i anty-faszystowscy przeżywali okres prawdziwej rozpaczy między wrześniem 1939 roku i czerwcem 1941 roku".

Ta ostatnia uwaga sprowadza nas znowu do zagadnień polskich. Prasa włoska poświęca im nadal wiele uwagi. W Polsce jak w soczewce w ciągu ostatnich lat odbijały się i odbijają zagadnienia żywotne dla całej Europy, typowe dla czasów, które przeżywamy. Pismo popularne „Il Tempo" przypomniało, że sprawa Polski w tej wojnie jest symboliczna dla wszystkich narodów europejskich.

„W dniu 1 września — pisało „Il Tempo" — Niemcy napadli na ziemie polskie. W dniu 3 września W. Brytania wypowiedziała Niemcom wojnę. Dlaczego W. Brytania przystąpiła do wojny? Czy dla Polski jako Polski? Nie. Czy dlatego, by „walczyć w obronie ras drugorzędnych", jak wyraził się uprzejmie Hitler wobec ambasadora brytyjskiego? Również nie. W. Brytania w dniu 3 września 1939 r. znalazła się w wojnie ze względu na Polskę, ale na Polskę jako na symbol Europy. Uczyniła to, by jak wyraził się lord Halifax w Izbie Lordów w dniu 24 sierpnia 1939 r. „utrzymać niepodległość tych państw, które są przywiązane do swej wolności, gotowe do jej obrony i starają się podtrzymać zasadę, iż wszelkie zmiany, oczywiście nieuniknione, w stosunkach między narodami winny być przeprowadzane pokojowo i w drodze swobodnych rokowań". Oto, jak wygląda zasadnicze zagadnienie porządku europejskiego, oto, w czym się wyraża sumienie i współżycie międzynarodowe.

Zdaniem „Il Tempo" stanowisko zajęte przez W. Brytanię we wrześniu 1939 r. świadczyło, że zagadnienia europejskie mają charakter „centralny" dla imperium brytyjskiego. „Los Europy — zdaniem „Il Tempo" — dotyczy i obchodzi wszystkie narody wspólnoty brytyjskiej".

Czy jednak piękna mowa lorda Halifaxa z 24 sierpnia 1939 r. nie poszła dziś nieco w zapomnienie? Bo oto, co w organie „Rinascita" w artykule pt. „Polska i ZSRR" pisze p. Massimo Annesi na tle podróży p. Mikołajczyka do Moskwy:

„Związek Sowiecki nie traktuje prawdziwych przedstawicieli narodu polskiego na równej stopie, lecz uzbrojony w siłę usiłuje ciągle narzucać im swą wolę. Innymi słowy wydaje się, że sowieccy mężowie stanu nie doceniają w pełni siły orężnej wojsk polskich, które choć może nie są liczebnie znaczne, to przecież są niezmierne cenne dla sprawy narodów zjednoczonych. Ze względu na krew przelaną tak hojnie dla sprawy, która niejednokrotnie wydawała się stracona, ze względu na niezachwianą swą wiarę w powrót lepszych czasów, w odrodzenie wolności oraz sprawiedliwości, naród polski jak i jego legalni przedstawiciele w rządzie polskim w Londynie zasłużyli sobie na inne traktowanie. Oświadczenia zaś sowieckie, że Rosja nie rości sobie pretensji do terytoriów polskich, tracą wszelkie znaczenie wobec dążeń do narzucenia narodowi polskiemu rządu komunistów, którzy stanowią jedynie znikomą część społeczeństwa".

„Rinascita" oświadczała, że ze względu na powyższe objawy stosunki polsko-sowieckie niepokoją poważnie niezależną opinię włoską. Artykuł kończył się przytoczeniem zdania Hilarego Belloca: „Jeżeli sprzymierzeni pozostawią los Polski w niepewności, wojna będzie dla nich przegrana".

Tymczasem korzystając z pobytu premiera Churchilla we Włoszech prasa włoska wystąpiła pod jego adresem z różnymi postulatami. Niezmiernie charakterystyczny dla tutejszych nastrojów był artykuł pisma „L'Italia Libera" pt. „Otwarty list do Winstona Churchilla".

„Skłamalibyśmy wobec siebie i wobec was, sprzymierzeńcy, a przez to naruszylibyśmy jeden z świętych współczynników wolności — prawdę, gdybyśmy Panu powiedzieli, że wszystko rozwija się pomyślnie na drodze naszego odrodzenia i odbudowy. Znajdując się w wojnie nie rozporządzamy takimi siłami, jakie chcielibyśmy posiadać, a wie Pan dobrze, że to nie zależy od nas. Znosimy bez szemrania klauzule ciężkiego rozejmu. Gotowi jesteśmy liczyć się z wszystkimi potrzebami wojny. Ale nie ukrywamy Panu, jak głęboko ubolewamy, że po tylu wydarzeniach jesteśmy ciągle pod względem technicznym uważani za wrogów tych narodów zjednoczonych, które postawiły sobie za zadanie przywrócić wolność światu. Chcielibyśmy wiedzieć — rząd nasz oświadczył to rządom sprzymierzonym — jakie prawo wojenne nami rządzi? Chcielibyśmy móc położyć pierwsze fundamenty pod odbudowę kraju pod waszym nadzorem, ale z pełnym poczuciem odpowiedzialności i autonomii. Wiemy, Panie Churchill, że rząd Pana, choć obdarzony tylu wyjątkowymi pełnomocnictwami, jest rządem parlamentarnym. I dlatego nie żądamy od Pana takich rzeczy, których można by domagać się jedynie od przywódców państw totalitarnych, ale od Winstona Churchilla, przedstawiciela wolnego i przyjaznego nam narodu angielskiego, mamy prawo domagać się, by stał się wykładnikiem wobec swego parlamentu i wobec sprzymierzonych pragnień narodu włoskiego".

Należy nadmienić, że „L'Italia Libera" jest organem partii Akcji, uchodzącej za stronnictwo szczerze oddane sprawie sprzymierzonych na zachodzie. Treść „listu otwartego do Winstona Churchilla" jest jeszcze jednym przejawem kryzysu politycznego i społecznego, który grozi całej Europie, o ile mocarstwa anglosaskie nie zdobędą się na wyraźny i konsekwentnie broniony program polityczny, lub też o ile wolne narody europejskie współdziałając z sobą nie uchwycą swego losu we własne ręce.

D. I.

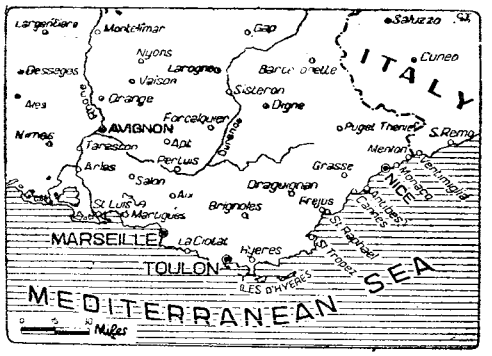

Mapka terenu walk we Francji południowej (do art. na str. 6)

WEZWANIE

Kiedy przy drodze italskiej senne wyrośnie miasto
I jakieś wieże błysną (nikomu tego nie powiesz),
Lecz nagle wszystko przy tobie — wojna, świat cały — gasną —
Myślisz — może naprawdę — wiślany zamek — Sandomierz?

Ciągle pieścimy w duszy najskrytsze jasne marzenia
I nie wiesz sam w jakiej chwili mgłą się zasnują oczy,
Gdy nocą nad taflą wody, wśród księżycowych cieni
Twarz ci muśnie wspomnienie jakiejś świetlanej Naroczy.

Dziś wszystkie słowa są puste. Zgłuchły dźwięczne klawisze
I nie potoczą się więcej wierszem strumieniem do gwiazd,
Bo teraz na serce nasze, w groźnej, ściśniętej ciszy
Spadają, jak łzy bolesne, nazwy dalekich miast.

Gdy bijesz w mury Ancony artyleryjskim gniewem,
Gdy ściskasz śmierć złowrogą w strzeliste Castelfidardo
Słyszysz, jak w huku i dymie Warszawa woła na ciebie —
Widzisz jak płomień grozy wszystkie twe miasta ogarnął.

Na szpaltach codziennych gazet rosną czerwone plamy
A w sercach dźwięczy wezwaniem poezja nazw magicznych.
Jutro cię znowu obudzą jakieś samotne Puławy
I będą wołać z daleka wierszem naprawdę tragicznym.

Nie trzeba nam gromkich pieśni, nie trzeba wieńców sławy.
Czyż mamy na białych koniach paradny święcić wjazd?
Trzeba nam drogą najprostszą przerzucić most do Warszawy
I mściwe zatknąć męstwo — sztandar na murach miasta.

Jan Olechowski

OKRĘT*)

Od lat tak stojąc patrzy,
Jak wraz z płynącą wodą
Mija go jego prawo.

Burty jak płot przy płocie,
Zapadające w ziemię, —
Pokład zarosły trawą.

Krowy się wkoło pasą,
Tutejsza jakaś łoza
Wbija mu w boki korzeń.

Gdyby nawet był wolny,
Pewnoby się nie ruszył,
Zdrętwiały z upokorzeń.

Przed mojemi oknami
Od lat tu uwięziony
Okręt stoi na ziemi.

Sterczy oto dzień cały
Ku pogodnemu niebu
Maszty nieruchomemi.

Przy nim płynie ku morzu
Błękitno złoty Tyber,
A ma już niedaleko...

W słońcu jaśnieją domy,
A nad domami góry
Sinieją poza rzeką.

A jakże się dawniej kołysał,
Kołysał na tej wodzie błękitno złotej!
Jak tancerz masztami po niebie
Nieustanne pisząc kręgi i obroty.
Jak w piersi śnieżyste nabrawszy
Wiatru, płynął jak łabędź skrzydlaty,
Jak leciał po falach spienionych
W nieznane jeszcze ludziom dalekie światy!

Jakaż to dziś przygoda
Uwięzionemu w ziemi
Brygowi się wydarzy?

Drgnął, gdy na śmigłe maszty
Wdarli się dzisiaj chłopcy
Z sercami marynarzy.

Czy, gdy mu rozwinęli
Na wiatr pożółkłe żagle,
Skoczy na wodę rzeki?

Zatańczy i popłynie
Chyżo Tybrem ku Ostii
W ocean niedaleki?

Dziś uczy was ten więzień
w przymierzu z wami, chłopcy,
jak macie służyć innym.

Póki w południe, w słońcu
O życiu mu się marzy
Nad tym turkusem płynnym.

Powietrze pachnie morzem,
Wiatr lekki idzie górą,
Pogoda dziś surowa —

Czy to kotwiczny łańcuch
Ciągniony w górę stuka? —
Trze róg o burtę krowa...

Przeskoczył wiatr na zachód,
Łopotnął zwisłym żaglem,
Zawarczał między liny,

Zimno się uczyniło,
Słońce się uniżyło,
Cień rzekę zasnuł siny...

Odchodźcie teraz prędko,
Ach prędzej, od okrętu!
Dziób jego ziemię orze,

I już was nie zabije,
Ani was nie potopi, —
Ale was przeklęć może...

Michał Pawlikowski

*) Na życzenie Autora zachowujemy pisownię — red.

WARSZAWA WOŁA O POMOC!

(Tygodniowy przegląd wydarzeń)

W obecnej fazie wojny, uważanej za decydującą, Polskie Siły Zbrojne są wszędzie w ofensywie uderzając na umocnienia trzeszczącej twierdzy europejskiej Hitlera. Polacy pierwsi zaczęli walkę z Niemcami i prowadzić ją będą aż do osiągnięcia swego celu.

We Włoszech oddziały 2. Korpusu znowu posunęły się naprzód na odcinku adriatyckim forsując rzekę Cesano i zbliżają się do portu Pesaro w drodze na Rimini. W Normandii dywizja pancerna 1. Korpusu weszła do boju w dniu 8 sierpnia u boku wojsk kanadyjskich na jednym z najcięższych odcinków frontu, na południu od Caen. Zadaniem wojsk kanadyjskich i polskich było zdobycie Falaise, zamknięcie worka, w którym znajdowały się resztki VII armii niemieckiej i wywarcie zawiasów od wrót wiodących do Paryża. Walki były zaciekłe. Niemcy walczyli do upadłego. Polacy zdobywali teren metr za metrem, lecz w czwartym dniu walki zdołali posunąć się o 10 km. Nie jest zapewne przypadkiem, że podobnie jak na froncie włoskim, również w Normandii zadania najbardziej odpowiedzialne, wymagające od żołnierzy nie tylko zaprawy bojowej, ale i zapału bojowego oraz wytrzymałości na trudy, powierzane są Polakom.

Lecz — wyznajemy — nie te polskie boje, twarde i zwycięskie, zarówno we Włoszech jak i we Francji pochłaniają dziś nasze myśli, nie na nich skupia się nasza uwaga i troska największa. Jesteśmy dziś wszyscy duchem z walczącą Warszawą. Tam, w stolicy, bohaterstwo narodu osiągnęło znowu szczyty najwyższe, które tylko żołnierz zdoła zrozumieć i ocenić sprawiedliwie a uczciwie.

Warszawa wciąż walczy w warunkach strategicznie straszliwych, a politycznie potwornych. Walczy jednak z wiarą, z ufnością, z zapałem od trzech tygodni przeciw przewadze wroga nie mając ani lotnictwa, ani ciężkiej artylerii, ani całego sprzętu nowoczesnego niezbędnego, jak się i nam wydaje, do prowadzenia wojny. Walczy sama, otrzymawszy dopiero niedawno pierwszą, lecz jakże jeszcze nie wystarczającą pomoc z Anglii.

Porwała się ona do boju, by w chwili odwrotu niemieckiego tylko polskie a nie obce sztandary znalazły się na ruinach zamku królewskiego, na ratuszu oraz czcigodnych gmachach historycznych stolicy. Lecz za ten gest dumy i wolności spotkała ją dziwna „kara": została opuszczona przez tych, którzy zdemaskowali znowu swój właściwy stosunek do dzieła wyzwalania Europy. Warszawa walczy więc sama, ale dzięki temu ten odcinek frontu ma charakter już nie aliancko-niemiecki, ale wyłącznie polsko-niemiecki.

Za swój czyn płaci Warszawa nowymi ofiarami: zniszczonymi dzielnicami, zburzonymi zabytkami, masakrą ludzi, rozstrzelaniem nowej serii wybitnych profesorów uniwersytetu, pędzeniem kobiet i dzieci przed czołgi niemieckie, wyrzucaniem ludzi z domów i skazywaniem ich na poniewierkę. A jednak, mimo że Niemcy wciąż ogłaszają upadek powstania, walki trwają — ostatnio głównie na Starym Mieście i dokoła Dworca Gdańskiego — a meldunki gen. Bora stają się coraz bardziej dramatyczne i wstrząsające.

Czytając je ciśnie się pytanie — które wysuwamy bez żadnej megalomanii — czy świat, świat demokratyczny, świat wolności i Karty Atlantyckiej zdoła kiedykolwiek spłacić swój dług honoru wobec tej wyjątkowej, nie mającej sobie równej, stolicy europejskiej? Czy jej wola, krwią tylekrotnie pieczętowana, nie miałaby znaleźć poszanowania wśród tych, którzy obiecali wolność wszystkim gotowym ginąć za wzniosłą tę ideę?

Wymownie dramatyczne pytania postawił Naczelny Wódz opinii publicznej oświadczając korespondentowi „Daily Telegraph":

„Czy zdajecie sobie sprawę z tego, że może nadejść wiadomość o tym, że Niemcy po raz drugi zdobyli Warszawę? Czy zdajecie sobie sprawę z tego, że gdyby do tego doszło, wszyscy Polacy, nawet kobiety i dzieci, którzy walczyli przeciw ciemiężycielom jak prawdziwi demokraci, padną ofiarami rzezi prowadzonej z zimną krwią?".

Warszawa oczekuje pomocy, oczekuje jej od aliantów i od rządu polskiego. W sprawie tej zabrał głos wicepremier Kwapiński, który z ramienia rządu zajmuje się sprawami powstania i jest odpowiedzialny za dostarczanie pomocy walczącym Polakom. W dniu 8 sierpnia minister ten powiedział:

„Wiemy że wypatrujecie, że nadsłuchujecie, że czekacie. Najtragiczniejsze jest to, że wy czekacie. My także czekamy, by móc wam podać radosną wieść. Czynimy wszystko, żeby to się stało... Z zapartym oddechem Polacy rozrzuceni nieomal po całym świecie przysłuchują się odgłosom walki i oczekują rozwoju wypadków. Jakie one będą, nie umiem jeszcze powiedzieć. Ale mogę wam o jednym powiedzieć, że naród polski swoją pracą i walką ofiarną ma prawo, by szanowano jego godność i poczucie niezależności".

Ze słów tych raczej posępnych nie wynikało, by pomoc była w tym czasie Warszawie zapewniona.

W następnym oświadczeniu wicepremier Kwapiński wzywał wobec niepokoju okazywanego wszędzie przez Polaków do „panowania nad nerwami" i zapewniał, że pomoc dla Warszawy jest organizowana przez rząd.

Min. spraw wewętrznych Banaczyk w przemówieniu z dnia 11 sierpnia powiedział:

„Dziś mija jedenasty dzień, kiedy Warszawa rozpoczęła otwartą walkę w nadziei, że akcja ta przyśpieszy i ułatwi ostateczne pokonanie wspólnego wroga we współdziałaniu ze stojącymi u wrót Warszawy wojskami rosyjskimi".

Wypadki nie potwierdziły nadziei wyrażonych przez min. Banaczyka. My zaś mamy nadzieję, że nadejdzie czas, kiedy rząd ogłosi wszystkie dokumenty dotyczące drugiej bitwy o Warszawę.

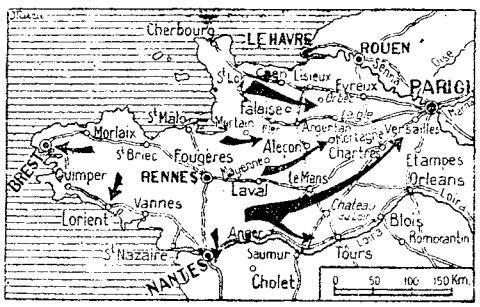

Mapka terenu walk we Francji północno-zachodniej

Nawet jednak już dziś prawda o tych walkach jest aż nadto widoczna. Z zadowoleniem notujemy dojrzenie tej prawdy przez lorda Vansittarta, który w pięknym apelu ogłoszonym w „Daily Mail" zarzuca światu brak dostatecznego zainteresowania dla tragedii Warszawy. Z satysfakcją stwierdzamy, że nawet londyńska „Tribune", na której łamach ukazywało się tyle krzywdzących zarzutów pod adresem Polski, wystąpiła z gorącym wezwaniem o pomoc dla Warszawy. Do rzędu podobnych manifestacji zaliczyć należy odezwę drugiej międzynarodówki socjalistycznej, głosy prasy brazylijskiej itd. Nie można też pominąć kilkakrotnych już wystąpień w tej sprawie watykańskiego „Osservatore Romano". Podkreśline wreszcie trzeba płomienny apel Polonii amerykańskiej do rządu Stanów Zjednoczonych o pomoc dla Warszawy. Chodzi tylko o to, by apele te nie prowadziły do podjęcia akcji charytatywnej tylko na rzecz „umęczonej" i „cierpiącej" Warszawy, ale by uznano jej czyn za przejaw woli miasta, które chce być stolicą Polski całej i naprawdę niepodległej.

Echa nowej „Mission to Moscow"

Podczas gdy na oczach neutralnej w tym wypadku armii sowieckiej rozgrywa się walka polsko-niemiecka w Warszawie, „Times" ogłosił zdumiewającą korespondencję z Moskwy o szczegółach wizyty p. Mikołajczyka w Rosji. Okazuje się, że rozmowy premiera, według tych doniesień, objęły nie tylko sprawy polsko-sowieckie, ale inne, szersze zagadnienia, które rozważano w „najbardziej przyjaznej atmosferze".

„Nie ma mowy — zaznaczył korespondent — o przerwaniu tych rozmów, choć ze względu na powstanie zagadnień konstytucyjnych, które według poglądów w Moskwie dotyczą przede wszystkim stosunku Naczelnego Wodza Polskich Sił Zbrojnych do rządu, p. Mikołajczyk uznał przed powzięciem decyzji obecność swą w Londynie za konieczną".

Dowiadujemy się z tego zatem o jaskrawej ingerencji sowieckiej w wewnętrznopersonalne sprawy polskie i że ta sytuacja skłonić miała p. Mikołajczyka do wyjazdu z Rosji z propozycją sowiecką, któ-

twierdzą, że odzyskali teren pod Baranowem oraz, że na Litwie odebrali Wiłkowyszki. Rosjanie donieśli o wzięciu Osowca nad granicą Prus Wschodnich i o przekroczeniu tam rzeki Biebrzy. Twierdzą też, że wkroczyli do Sandomierza. Od strony Białegostoku i od strony Litwy (Wiłkowyszki — Rosienie) skierowany jest dziś główny nacisk sowiecki na Prusy Wschodnie. Natomiast Ossów pod Warszawą został przez Rosjan oddany...

Gen. Dittmar, główny niemiecki komentator wojskowy radia, przyznał, że w lipcu Niemcy przeżyły okres „niezmiernie krytyczny", obecnie jednak, dzięki totalnej mobilizacji i wzmiesieniu umocnień na wschodzie, sytuacja została, zdaniem Dittmara, na razie opanowana, choć Sowiety „nie zagrały jeszcze ostatniej swej karty".

Armia niemiecka na wschodzie odniosła ostatnio szereg sukcesów. Obrona została wzmocniona, lecz wszystko to, zdaniem Dittmara, można było zrobić wcześniej, gdyby „sabotażyści" w Niemczech nie przeszkodzili przeprowadzeniu w porę totalnej mobilizacji. Widać z tego, że sabotażyści w totalitarnych Niemczech posiadali spore możliwości. Najzabawniejsze, że po tych napaściach na sabotażystów niemieckich gen. Dittmar zwrócił się z apelem do Polaków proponując im współdziałanie z Niemcami przeciw bolszewikom...

Największe kłopoty — i to Dittmar również przyznaje — sprawia Niemcom sytuacja we Francji. W Normandii wielka bitwa w trójkącie Caen-Alencon-Mortain została ostatecznie wygrana przez sojuszników. Niemcy chcieli idąc od Mortain na zachód w kierunku morzą odciąć wojska amerykańskie, które przedarły się do Bretanii, od sił walczących w Normandii. Do upadłego przeprowadzali tam natarcia nie zważając, że groziły im na skrzydłach dwa manewry okrążające. W ostatniej dopiero chwili, w dniu 12 sierpnia rozpoczęli odwrót i choć zdołali wycofać część swych sił ze ścieśniających się kleszczy, los VII armii niemieckiej został przypieczętowany po wzięciu Falaise i Putanges, co w praktyce zamyka węzeł dokoła ważnego ośrodka oporu niemieckiego. Jednocześnie oznajmiono, że alianci doszli do Chartres i znaleźli się w odległości 70 km od Paryża, zagrażając mu bezpośrednio.

Gdy na północy wypadki zaczęły rozwijać się tak pomyślnie, nastąpiło w dniu 15 sierpnia nowe lądowanie aliantów we Francji południowej. Znaczna część wybrzeża znajduje się już w rękach sprzymierzonych. Co Niemcy postanowią wobec tej nowej sytuacji? Mają oni na południu Francji zaledwie niewielkie siły. Utrzymanie tam nowego frontu byłoby więc bardzo ryzykowne. Uderzając z północy i południa alianci mają szanse całkowitego rozbicia sił niemieckich we Francji. Pozostałby odwrót z całej Francji na najkrótszą linię, biegnącą od kanału La Manche do granicy szwajcarskiej. Lecz w takim razie front we Włoszech na linii Piza-Rimini i tzw. linia Gotów zawisłyby w powietrzu. Lądowanie aliantów we Francji południowej, które obserwował osobiście premier Churchill, otwiera nowe perspektywy strategiczne i polityczne dla sił walczących na zachodzie Europy.

polskim, lecz co znaczy owo bezceremonialne traktowanie tych spraw przez korespondenta „Times'a" w Moskwie? Czy nie jest tu potrzebne wyraźne, kategoryczne oświadczenie rządu, zamykające raz na zawsze wszelkie próby mieszania się obcych w nasze sprawy wewnętrzne?

Mącenie wody

Bezceremonialne traktowanie przez propagandę sowiecką innych mocarstw oraz osobistości zajmujących w świecie odpowiedzialne stanowiska wyraziło się m. in. w depeszy rozesłanej przez Reutera (agencja ta za dobrych czasów nie zajmowała się taką robotą) o rzekomych rokowaniach między rządem sowieckim a Watykanem, o memorandum Stalina dla Ojca Świętego itd. Szczytem wszakże owej informacji było doniesienie, jakoby nuncjusz papieski przy rządzie polskim ks. arcybiskup Cortesi — znany dobrze społeczeństwu polskiemu — zamierzał udać się z Rzymu do Warszawy, gdy tylko zostanie ona „oswobodzona" przez armie sowieckie. Podróż jego do stolicy Polski miałaby znaczyć, według tej informacji, że „Watykan zdaje sobie sprawę, iż Polska, kraj przeważnie katolicki, pozostanie w okresie powojennym w ścisłych stosunkach przyjaźni z Rosją".

Wiadomość powyższa była tak podana, że sprawiała wrażenie, iż Mons. Cortesi zamierza powrócić do Warszawy wraz z wojskami sowieckimi w wyniku jakiegoś porozumienia watykańsko-sowieckiego. „Osservatore Romano" uważał za stosowne zaprzeczyć oficjalnie tej informacji i stwierdzić, że była ona zupełnie bezpodstawna. Wypadek ten jest wszakże nowym dowodem, że znajdujemy się w fazie prowokacji, intryg i zamętu, sianego przez specjalistów od mącenia stosunków międzynarodowych.

Wielka bitwa o Francję

Stan ten każe nam wciąż bardzo uważnie patrzeć na wszystkie depesze z frontu wschodniego. Front ten ustabilizował się na razie mniej więcej według projektowanej linii granicznej niemiecko-sowieckiej, którą von Ribbentrop i Mołotow układali przed napaścią niemiecką na Polskę. Front biegnie bowiem długim odcinkiem wzdłuż Wisły i od dłuższego czasu nie ulega większym zmianom. Czy to przypadek? Niemcy

Plany Ameryki

Amerykanie ze swej strony odbili wyspę Guam na Pacyfiku, a prezydent Roosevelt odbył podróż po tym oceanie przeprowadzając inspekcję wojsk amerykańskich. Prezydent wygłosił przy tej okazji przemówienie, w którym oznajmił, że Wyspy Aleuckie oraz amerykańskie tereny pobliskie Syberii pozostaną po wojnie ufortyfikowane, lecz że krok ten nie może być rozumiany jako niechętny Rosji. Prezydent zajął się również wysunięty mi placówkami na Pacyfiku jak i zagadnieniem obrony posiadłości francuskich i brytyjskich na oceanach. Podkreśliwszy znaczenie niektórych z tych posiadłości dla Ameryki, W. Brytanii i Francji, jak i dla Australii i Nowej Zelandii prezydent wskazał na konieczność zbiorowego porozumienia wszystkich zainteresowanych stron. Zastrzegając się przed tendencjami imperialistycznymi, prezydent wyraził przekonanie, że W. Brytania i Francja będą zadowolone „z wzięcia udziału w porozumieniach dotyczących obrony posiadanych przez nie wysp". Mowa ta, zapowiadająca trwały udział Ameryki w obronie niektórych posiadłości brytyjskich i francuskich, wskazała na nowe szlaki współczesnej myśli politycznej Stanów Zjednoczonych i na oddalanie się jej zarówno od doktryny Monroego jak i od izolacjonizmu.

D. I.

WIR.

ŻOŁNIERZ-CZEKA...

Wchodzimy w ostatni okres walki z Niemcami. Błyskawiczny pochód armii czerwonej, ofensywa zachodnich sprzymierzeńców we Francji, zwycięskie ich walki we Włoszech, wstrząsy wewnętrzne w Niemczech, ewolucje polityki tureckiej — wszystko to znamionuje początek końca Trzeciej Rzeszy. Państwa, narody zaczynają konkretyzować — choć nie zawsze ujawniać — własne cele wojny. Zarysowują się płaszczyzny tarć, ujawniają się sprzeczności interesów. Z naszej, czy nie z naszej winy, najjaskrawiej wystąpiły rozbieżności między Polską a Związkiem Sowieckim. Od nas i o nas zaczęła się wojną, od nas zaczynają się przetargi pokojowe.

Nie myśmy wybrali ten moment, wybrała go Rosja sowiecka, jako najwygodniejszy dla siebie, gdy świat zachodni zapatrzony jest w jej zwycięstwa, a przeciwstawić jej jeszcze nie może własnych, równie wielkich. W chwili obecnej Związek Sowiecki ma jeszcze jedną przewagę nad innymi sprzymierzonymi; oni muszą uzgadniać między sobą cele wojny i taktykę polityczną, muszą się liczyć z opinią publiczną różnych krajów — Stalin może planować sam, bez oglądania się na inne czynniki, wewnętrzne, ani zewnętrzne. Odnosi się też wrażenie, że ma on najbardziej skonkretyzowane plany zarówno w stosunku do państw ościennych — w tym i Polski — jak i co do Niemiec. Część tych planów została ujawniona, a nawet jest w trakcie realizacji: inkorporacja do Związku Sowieckiego Litwy, Łotwy i Estonii, pozbawienie Polski przeszło 1/3 jej uprzedniego terytorium, z pozostałej części utworzenie — na razie — czegoś w rodzaju państwa wasalnego, rządzonego przez komitet o charakterze komunistycznym. Na Bałkanach rozszerzenie wpływów rosyjsko-sowieckich, poprzez lokalne ruchy komunistyczne. We Włoszech — uzyskanie praw obywatelskich dla partii komunistycznej, z poważnymi perspektywami na przyszłość.

Trudno wątpić, że Stalin ma również skonkretyzowany plan dotyczący Niemiec. W tej dziedzinie nie ma politycznie związanych rąk. We wszystkich aktach międzynarodowych, które podpisał z aliantami, jest mowa tylko o walce z hitlerowskimi Niemcami. A jeżeli Niemcy przestaną być hitlerowskie? Jaka jest rola przebywającego w Moskwie von Seydlitza i towarzyszy? Czy byli oni w kontakcie z junkrami, którzy przygotowywali przewrót przeciwko Hitlerowi? Czy przygotowania do tego przewrotu wpłynęły na postawę wojsk niemieckich na Wschodzie? Jakie byłyby konsekwencje, gdyby były powstały Niemcy junkierskie, nie hitlerowskie, z tradycją współdziałania między Reichswehrą a armią czerwoną, tradycje oparte na tak ścisłej współpracy z przed okresu nazistowskiego?

Na pytania te nie możemy obecnie znaleźć odpowiedzi. Wiemy jednak, że planowania sowieckie zawsze uwzględniają szereg ewentualności. Zamach junkierski się nie udał, zapewne nawet nie było to optimum sowieckie; Niemcy przeżywają wstrząsy, a armia czerwona ma ułatwione posuwanie się naprzód. Prędzej czy później, przyjdzie chwila, gdy realną stanie się możliwość powstania Niemiec nie junkierskich, a czerwonych — które szukać będą oparcia w czerwonej Rosji. I na tę ewentualność Stalin musi mieć gotowe plany.

Stalin jest uzależniony od pozostałych sprzymierzonych pod względem dostawy broni, zaopatrzenia, żywności dla wojska; sprzymierzeni jednak są, jak dotychczas, jeszcze bardziej z nim związani w dziedzinie strategiczno-wojskowej. Wprawdzie walczyli oni z Rzeszą i wówczas, gdy Związek Sowiecki był z nią w przyjaźni; lecz w tamtych warunkach wojna musiałaby trwać bez porównania dłużej. Poza tym realizowane obecnie plany strategiczne zostały oparte i opracowane na tradycji synchronizacji ataków z zachodu i wschodu.

Zależność jest więc wzajemna. Stalin śpieszy się, by utrwalić wszystko, co może, w okresie dobrej dla siebie koniunktury. W sprawach bałtyckich nie napotkał, jak dotychczas, oporu. W sprawie polskiej — na opór może napotkać przede wszystkim z naszej strony. Jeżeli ten opór jest w ogóle możliwy, to zawdzięczamy to bodaj że bez reszty naszemu żołnierzowi. Lotnictwo i marynarka w Anglii i na całym świecie; walki w Afryce, a później Monte Cassino, Ancona, Senigalia; bezustanne walki w kraju, a przede wszystkim obecnie, w Warszawie. Tym razem nie będzie nadużywaniem słów twierdzenie, że wkład polskiego bohaterstwa do tej wojny jest olbrzymi. Niewspółmierną też do naszego stanu liczbowego jest ilość polskich zwycięstw — na lądzie, morzu i w powietrzu. Nikt też, absolutnie nikt nie może nam postawić zarzutów, za pomocą których strącono Michajłowicza z piedestału bohatera narodowego. Nawiasem dodamy, że jest też różnica między marszałkiem Tito, a np. Żymierskim czy Berlingiem: w Jugosławii nie ma wojsk sowieckich.

Wojsko dało naszym sferom kierowniczym, naszemu rządowi, najpoważniejszy atut polityczny w czasie wojny: zwycięstwa. Okupione drogo, wyrosłe z wartości żołnierza, z talentu wodzów. Żołnierz złożył je w ręce kierowników i — czeka.

Wytartym już liczmanem jest twierdzenie, że Polska zawsze marnowała zwycięstwa. Liczmanami myśleć nie należy — lecz jest rzeczą jasną, że żołnierz dba, aby jego trud zmarnowany nie został. Zdawało się, że da on — na chwilę bieżącą — rządowi możność przetrwania na niezłomnym stanowisku aż do wyświetlenia sytuacji politycznej w skali światowej, powiedzmy, aż do końca działań wojennych. Wiemy, że stanowisko rządu jest niezmiernie trudne. Wiemy, że świat zachodni wywiera na nas presje. Jest to zrozumiałe — chce dać wyraz dobrej woli swemu wschodniemu sojusznikowi. Lecz każdy jest stróżem własnych interesów. Moment wybrany przez Związek Sowiecki jest dlań najlepszy — dla nas najgorszy. Dotrzymujemy sojuszów, bijemy i bić będziemy Niemców. Lecz chcemy, by krew nasza zapewniała Polsce swobodę ruchów. Bijemy się jak wolni, nie jak niewolnicy, czy choćby wasale.

Wiadomość o podróży premiera polskiego do Moskwy, w upokarzających warunkach, wstrząsnęła nami. Nie tak wyobrażamy sobie rolę Polski śród wolnych ludów. Wszak niedawno jeszcze komitet komunistyczny w Polsce był nazywany garstką uzurpatorów; wszak obowiązują jeszcze słowa p. Prezydenta R. P., wyrzeczone w maju do czytelników „Orła Białego": „Zasada zjednoczenia wszystkich Polaków pod jednym wspólnym dachem państwowości polskiej nie może być podawana w wątpliwość. Rozpoczęliśmy tę wojnę, jako państwo o określonym terytorium państwowym, uznanym przez akty międzynarodowe. Ani Prezydent Rzeczypospolitej, ani rząd polski nie jest władny decydować o losie terytorium państwowego bez prawomocnej i w warunkach swobodnych obranej reprezentacji narodu."

Więc po co była jazda do Moskwy? Mówią, że był to z naszej strony jeszcze jeden akt dobrej woli. Polityka nasza dała ich przedtem — bez liku, ponad miarę. Czy ten ostatni był wart — upokorzenia? Lecz to się już stało. Niechaj to będzie ostatni akt dobrej woli — tego typu.

---

*) „Orzeł Biały" Nr 13 z dnia 21 maja 1944 r.

WÓZ DŹWIĘKOWY — PRZYJACIEL ŻOŁNIERZA

Jest dzień odpoczynku, bo głośnik nawalił, więc wóz odjechał — prowadzony przez kolegę — do warsztatu. Rzadki dzień odpoczynku. Biwakujemy, gdzie wypadnie. Wystarcza nam trochę cienia, rżysko, czy polanka w lesie, pole. Grupa wozów dźwiękowych rozrzuca się w terenie, maskuje, konserwuje wozy, odpoczywa. Taki biwak stanowi naszą bazę, z której wyjeżdżamy w teren „na robotę".

Wozy dźwiękowe mimo niedowierzania, przyrodzonego sceptycyzmu, pojawiły się „nagle" w dywizjach i oddziałach Korpusu i co najważniejsze, zyskały od razu gorące przyjęcie ze strony żołnierzy. Wjechały głęboko w strefę frontową i nic ich stamtąd nie wygna, chyba że nawali... głośnik lub akumulator — serce naszej pracy. Kiedyś, w naszym obozowisku podszedł do mnie jeden z przyjaciół i jak to jest, niestety, w zwyczaju wszystkich, przyjaciół na świecie, z miejsca „objechał" nas i robotę naszych wozów, skrytykował urządzenia, aparaturę i żeby mnie dobić wypalił:

— Wystarczy pomalować na czarno te wasze wozy, a każdy je weźmie za... karawaniarskie, pogrzebowe omnibusy... a la Łopacki czy Adamski w Warszawie... Zupełnie jak „Ostatnia Posługa" — dorzucił ze złym błyskiem w oczach...

Nie przejmujemy się takimi wylewami żółci.

Rano o świcie wstajemy, by oprócz toalety, śniadania itp. wziąć tzw. nasłuch radiowy. W wozach mamy odbiorniki.

Do południa czas upływa na wyłapaniu dostatecznej ilości wiadomości z dziennika radiowego, zestawieniu materiału i przygotowaniu audycji.

Kiedy słońce dochodzi do zenitu, a promienie bombardują prostopadłymi grotami ziemię, wyłazimy z dobroczynnego cienia, rzucanego przez szerokolistne morwy, czy gęste tuje, zapuszczamy silniki i... w drogę. Drogi przyfrontowe są z reguły złe, często zniszczone, porozwalane, kręte i pełne gryzącego oczy kurzu.

Każdy wóz pracuje sam, załoga (2 ludzi) poszukuje swoich oddziałów. Wychylając się z okna wozu usiłujemy odczytać tajemnicze cyfry—szyfry oddziałów.

— Jest, jest — wołam — to 3 baon, nasz oddział!

Wjeżdżamy. Zeskakuję ze stopnia, rozglądam się: nikogo nie ma, czy co u diabła? Pod drzewami jednak, pokryte krzakami i gałęziami, przywarły cicho wozy batalionowe, ludzie widać odpoczywają.

Pierwszy napotkany żołnierz, na widok wozu dźwiękowego, wyglądającego groźnie z szeroko rozwartymi paszczami głośników, śmieje się:

— To dla nas będzie audycja! Chłopaki wstawcie!... Wiadomości ze świata i muzyka!!! — drze się.

Z zarośli wyłazi natychmiast gromada napół ubranych żołnierzy.

— Dopierośmy wczoraj wieczorem przyszli tu na odpoczynek, gazet nie mieliśmy 2 tygodnie w ręku, to panowie spadli nam jak z nieba.

Mój kolega siedzi już na dachu wozu i majstruje przy głośnikach. Wykładam książki, gazety i kasetkę na pieniądze. Cennik przybity do ściany wozu, poniżej napis: „Każdy płaci sam, w myśl hasła: obsługujemy się sami"!. Dookoła wozu zbiera się tłum żołnierzy. Stos książek maleje szybko. Słychać tylko trzask opadającego stale wieka kasetki, stos papierowych pieniędzy rośnie. Po chwili brak pism.

— Ale panowie przyjadą za kilka dni, przywiozą „Orła" i książki? zapytują lękliwie.

— Przyjedziemy, musimy przyjechać!

Naszą rozmowę przerywają dźwięki dziarskiego marsza, wbiegam do wozu. Za chwilę będę czytał wiadomości radiowe. Czuję się trochę jak aktor przed występem, mam tremę, próbuję głosu. Dziennik radiowy jest najuważniej słuchany przez żołnierzy, spragnionych informacji, więc nie wolno mi się zająknąć, czy fałszywym tonem podać tekst słuchającym. Po wiadomościach tango, potem przypomnienie rocznicy grunwaldzkiej (dziś mamy 15 lipca — 534 rocznica), znowu muzyka, znowu słowo i tak na przemian.

Kolega będzie teraz przemawiał, korzystam z przerwy i wyskakuję chętnie z dusznego wozu, zlany potem, by sprawdzić, czy audycja jest słuchana.

Pytam się niepewnie, czy dobrze słyszą? Bez minuty wahania kiwają mi głowami, że tak. Wycofuję się, by nie przeszkadzać.

Sędzia — mój kolega — w wojsku kapral — właśnie zapowiedział tango: „Zamknij oczy dziewczyno! — Chiudi gli occhi signorina!" Nie ma dziewczyny blisko; oczy się same chłopcom zamykają, usta szepcą jakieś słowa, głowy chwieją się w takt muzyki. Zamarzyła się dusza żołnierza... przypomniały wiśniowe usta i oczy duże, przepaściste, ciemne... Gdzie to było... nad Chienti... pewnie?

Audycja dobiega końca, prądnica przegrzewa się, 40 minut pracy — nie więcej, godzina odpoczynku — dla maszyny. Takie wymagania ma nasza prądnica, chce pracować mniej od człowieka — bestia niema!

Z żalem odjeżdżamy. Chciałoby się zostać dłużej, ale innni też czekają, ruszamy. Podnoszą się ręce w pozdrowieniu:

— Przyjeżdżajcie z nowym programem i z... gazetami!

Do zmierzchu jeździmy po oddziałach, przyjmują nas wszędzie serdecznie, z nie zasłużoną przez nas wdzięcznością. Widać, że ta nasza praca jest potrzebna, że żołnierz już przywykł do wozu dźwiękowego i że się niecierpliwi, gdy go przez dłuższy czas nie widzi.

O zmroku zawijamy na biwak. Już jeden wóz zamaskował się tak dokładnie, że go w świetle księżyca prawie nie widać.

Zbliżamy się, raportujemy dowódcy przebieg dzisiejszych raidów, otrzymujemy wskazówki i rozkazy na jutro.

A to jutro wcale nie wesoło się zapowiada, bo wóz nr 1 ma nawaloną prądnicę, wóz nr 2 głośnik, a w wozie nr 3 wyczerpały się ostatnie rezerwowe akumulatory.

Zjawia się na to kolega sędzia i melduje, że agregat stanął w czasie ładowania akumulatorów i że nie można go uruchomić. Krew nas zalewa, ale gadaj do maszyny, kiedy jest głucha, martwa i bezduszna.

Z rana rozjeżdżamy się do warsztatówek i czołówki łączności. Znają nas tu i choć wiedzą, że nasz przyjazd zwiastuje im nową żmudną robotę, zabierają się do niej na wyskoki, z zapałem i głębokim przekonaniem, że na nasze wozy czekają tysiące żołnierzy. Można bez przesady powiedzieć, że łączność, warsztatówki i propaganda (tzn. my) współpracują doskonale ze sobą i doskonale się rozumieją. Rzecz jasna i oczywista, że często, po pracy w warsztacie, zawita tu wóz dźwiękowy i przy akompaniamencie lekkiego wietrzyka z nad morza nada audycję specjalnie przeznaczoną dla naszych nieocenionych majstrów, techników i monterów.

W nocy na biwaku śpimy lub trzymamy wartę, spoglądamy na niebo, spod którego dobiegają w jasne, księżycowe noce niepokojące szumy i warczenia silników. Czasami włazimy do rowu lub pod drzewo, by przeczekać pikującego nad drzewami nocnego gościa, który ma nieprzyjemny zwyczaj obsypywania koszykiem bomb. Ale to są zdarzenia mało ciekawe.

Mijają dnie, przechodzą noce. Różnymi drogami suną szare, niezgrabne wozy dźwiękowe, spoglądające na świat czeluściami głośników. Ukazanie się wozu z reguły wywołuje uśmiechy na twarzach stojących przy drodze żołnierzy.

— Czekamy na was! — leci za wozem.

— Przyjeżdżajcie, nie zapominajcie o nas!

Mała grupka żołnierzy, którym powierzono obsługę wozów dźwiękowych, choć składa się z ludzi o różnych charakterach, usposobieniu i wrażliwości, ma jeden bardzo trudny cel do osiągnięcia — być wszędzie jak najczęściej. Jej skrytym pragnieniem jest, by weszło w świadomość żołnierza tzw. pierwszej linii, że tzw. tyły, w danym wypadku propaganda — zajmują się nim i troszczą o niego. By nie czuł się osamotnionym.

By jadący drogą szary wóz dźwiękowy nie był dla was, Koledzy, bezdusznym mechanizmem, jednym z wielu pojazdów, które pędzą tam i z powrotem, w sobie tylko znanych celach i kierunkach, lecz by stał się waszym... przyjacielem. Dlatego grupa dźwiękowa wydała śmiertelną walkę martwym, kapryśnym maszynom radiotechnicznym. Walka jest trudna i zajadła. Maszyny się psują, kable przecierają. Głośniki nawalają. Walka jednak toczy się o to, by zdanie: „wóz dźwiękowy — przyjacielem żołnierza" — stało się w waszym żołnierskim życiu powszechnym zawołaniem, uznanym i przyjętym bez zastrzeżeń przez wszystkich żołnierzy.

Silnikiem, słowem i muzyką chcemy trafić do waszych serc.

Bogdan Zenon Znowski

CURZIO MALAPARTE

SZCZURY (II)

(Dalszy ciąg)

W pewnej chwili wszedł do kołchozu niemiecki oficer z S.S. w otoczeniu kilku żołnierzy. Stanął szeroko pośrodku podwórza oglądając się naokoło. Od czasu do czasu odwracał się mówiąc coś do żołnierzy: parę złotych zębów lśniło mu się w różowych ustach. Nagle spostrzegł robotnika pochylonego nad maszynami i zawołał go.

„Du, komm hier!" *).

Robotnik przybliżył się kulejąc. I on również był kulawy i pozostawili go dlatego, że był kulawy. W prawej ręce trzymał duży klucz angielski, w lewej mosiężną oliwiarkę. Przechodząc obok konia powiedział doń coś po cichu, koń zaś potarł mu pysk o ramię i kulejąc zrobił za nim parę kroków. Robotnik zatrzymał się przed oficerem, zdjął czapkę. Włosy miał czarne i kędzierzawe, twarz chudą i szarą, oczy mętne. Był na pewno Żydem.

„Du bist Jude, nicht wahr?" **) zapytał go oficer.

„Nein, ich bin kein Jude" ***), odrzekł robotnik robiąc znak przeczenia głową.

„Czto? ty nie Jewrej? Ty Jewrej! Jesteś Żydem!" powtórzył mu po rosyjsku oficer.

„Da, ja Jewrej, tak, jestem Żydem", odpowiedział robotnik po rosyjsku.

Oficer patrzył nań długo w milczeniu. Potem, zwolna, zapytał go:

„Ale dlaczego przed chwilą odpowiedziałeś mi, że nie?".

„Ponieważ mię zapytałeś po niemiecku", odrzekł robotnik.

„Rozstrzelać go!" rozkazał oficer.

Frank roześmiał się serdecznym, szerokim śmiechem. Wszyscy przy stole zawtórowali mu hałaśliwie, przechyleni w tył na poręczach krzeseł.

„Ten oficer — rzekł Frank, kiedy się uciszył wybuch wesołości przy stole — odpowiedział w sposób nader uczciwy, bo mógł był odpowiedzieć o wiele gorzej, nicht wahr?. Ale był człowiekiem bez dowcipu. Gdyby to był człowiek dowcipny, wziąłby może całą rzecz na wesoło. J'aime les hommes spirituels, dodał po francusku z ukłonem, et vous avez beaucoup d'esprit ***). Dowcip, inteligencja, sztuka i kultura, zajmują honorowe miejsce na niemieckim Burgu w Krakowie. Pragnę wskrzesić na Wawelu włoski dwór renesansowy, zrobić z Wawelu wyspę cywilizacji i ogłady w samym sercu słowiańskiego barbarzyństwa. Czy wie pan, że udało mi się stworzyć w Krakowie polską filharmonię? Wszystkimi członkami orkiestry są, oczywiście, Polacy. Furtwaengler i Karajan przybędą do Krakowa na przyszłą wiosnę, ażeby dyrygować serią koncertów. Ach Szopen! — wykrzyknął niespodzianie, wznosząc oczy ku górze i przebiegając palcami po obrusie, niczym po klawiaturze fortepianu — ach Szopen! Anioł o białych skrzydłach! Cóż szkodzi, że jest on aniołem polskim? W niebie muzyki znajduje się miejsce i dla polskich aniołów. A jednak Polacy nie lubią Szopena".

„Nie lubią Szopena?" zdziwiłem się boleśnie.

„Parę dni temu, ciągnął smutno Frank, na koncercie poświęconym Szopenowi publiczność krakowska nie klaskała. Ani jednego uderzenia w ręce, ani jednego odruchu entuzjazmu dla tego białego anioła muzyki. Patrzyłem na tę liczną publiczność, cichą, bez ruchu, starając się zrozumieć powód tego lodowatego milczenia; patrzyłem na te tysiące i tysiące błyszczących oczu, na te blade czoła, ciepłe jeszcze od delikatnej pieszczoty skrzydła Szopena, patrzyłem na te usta, jeszcze bezkrwiste po smutnym i słodkim pocałunku białego anioła i próbowałem usprawiedliwić w głębi serca ową niemą, marmurową, widmową prawie nieruchomość ogromnej publiczności. O! ale ja podbiję ten naród sztuką, poezją, muzyką! Będę polskim Orfeuszem. Ach! ach! ach! polskim Orfeuszem!" i zaczął się dziwnie śmiać, zamknąwszy oczy i przechyliwszy głowę na poręczy krzesła. Zbladł, oddychał z trudem i pot mu operlił czoło.

W tej chwili Frau Brigitte Frank, die deutsche Koenigin von Polen, podniosła brew zwróciwszy twarz ku wejściu: na owo poruszenie brwi otwarły się podwoje i wniesiono olbrzymią, srebrną tacę z zarośniętym dzikiem w dumnej zasadzce na pachnącym podłożu borówek.

Dzika tego ustrzelił w lasach pod Lublinem Keith, szef protokółu Generalnego Gubernatorstwa Polski. Rozjuszone zwierzę czaiło się na podłożu borówek, niczym wśród gęstwiny jeżyn w puszczy, gotowe rzucić się na niebacznych myśliwych z ich sforą. Dwa zakrzywione, białe kły wystawały mu z paszczy; z błyszczącego grzbietu, polanego tłuszczem, o skórze chrupiącej, popękanej od płomieni, sterczała mu czarna szczecina. I nagle uczułem, że mi się w sercu budzi ukryta sympatia dla tego szlachetnego polskiego dzika, dla tego zwierzęcego „powstańca" z lubelskich lasów. W głębi ciemnych orbit lśniło coś srebrnego i krwawego zarazem: błysk zimny i purpurowy, coś żywego a tajemniczego, niemal że wzrok, spopielały od potężnego, ukrytego ognia. Był to ten sam błysk srebrny i purpurowy, jaki widywałem w oczach chłopów i drwali, w oczach polskich robotników na wsiach nad Wisłą, w tatrzańskich borach pod Zakopanem, w fabrykach Radomia i Częstochowy, w kopalniach soli w Wieliczce.

„Achtung!" *) zawołał Frank. I podniósłszy ramię zatopił szeroki nóż w grzbiecie dzika.

Nie wiem, czy winne temu były płomienie dużego kominka, czy też obfitość potraw, albo może wytrawne wina francuskie i węgierskie: dość, że czułem, jak mi na czoło występuje rumieniec. Siedziałem przy stole niemieckiego Króla Polski, w wielkiej sali Wawelu, w szlachetnym, wiekowym, bogatym, uczonym, królewskim mieście Krakowie, pośród małego dworu owego naiwnego, okrutnego a pyszałkowatego niemieckiego wzoru wielkiego pana z epoki renesansu — i melancholijny wstyd palił mi czoło. Od samego początku obiadu Frank zaczął rozprawiać na temat Platona, Marsilio Ficino, Orti Oricellari (Frank odbył studia na rzymskim uniwersytecie, mówi doskonale po włosku, z lekkim akcentem romantycznym, przekazanym mu w puściźnie przez Goethego i Gregoroviusa, spędzał długie dni w muzeach Florencji, Wenecji i Sieny, zna Perugię, Lukkę i Ferrarę; rozmiłowany jest w Szumanie, Szopenie, Brahmsie i przepięknie gra na fortepianie), zaczął mówić o Donatellu, o Policjanie, o Boticellim, a mówiąc, oczarowany muzyką własnych swoich słów, przymykał oczy.

Uśmiechał się też Frank do Frau Brigitte Frank z taką samą gracją, z jaką się Celso, w Agnolo Firenzuola, uśmiecha do pięknej Amorroriski. I pieścił rozmawiając Frau Waechter i Frau Gassner takim samym miłosnym spojrzeniem, jakim Borso d'Este pieścił nagie ramiona i różane skronie kwitnących ferraryjek w Schifanoia. Zwracał się do gubernatora Krakowa, młodego i eleganckiego Waechtera, wiedeńczyka Waechtera, jednego z zabójców Dollfusa, z taką z samą majestatyczną łaskawością, z jaką Lorenzo il Magnifico, pośród wesołej kompanii, zebranej w jego willi w Ambra, zwracał się do młodego Policjana. I Keith, Wolsegger, Emil Gassner, Stahl, odpowiadali na jego łaskawe słowa z godnością i uprzejmością, jakie Baltazar Castiglione zaleca dworzanom doskonałym na doskonałych dworach. Jedynie Człowiek Himmlera, siedzący u końca stołu, słuchając milczał. Być może, iż przysłuchiwał się ciężkiemu odgłosowi kroków w sąsiednich pokojach, gdzie oczekiwali swego wspaniałego pana nie sokolnicy z zakapturzonym sokołem na ręce, okrytej skórzaną rękawicą, lecz surowi wartownicy z S. S., uzbrojeni w karabiny maszynowe.

Czułem, że występuje mi na czoło taki sam rumieniec, jaki mi oblewał twarz, kiedy przebiegłszy w autobusie puszyste śnieżne równiny pomiędzy Krakowem i Warszawą, Łodzią i Radomiem, Lwowem i Lublinem, poprzez smutne miasta i wsie nędzne, gdzie ludność blada i wychudła miała na twarzy ślady głodu, niewoli, trwogi, rozpaczy, w oczach zaś, jasnych, lub mętnych, owo czyste spojrzenie, które lud polski posiada w nieszczęściu, przybywałem wieczorem do Deutsches Haus, w którymś spowiniętym we mgłę mieście, przyjęty gwarem szorstkich głosów, szerokim śmiechem i zapachem napojów, czy ciepłych potraw. Wydawało mi się wówczas, że przeniosłem się cudem na jakiś ekspresjonistyczny dwór, wybujały w wyobraźni Grosza. Odnajdywałem dookoła stołów bogato wystawione karki, okulary, usta, uszy, przez Groszą rysowane: i owe niemieckie oczy, zimne a nieruchome, oczy rybie. Tak i teraz smutny wstyd rumienił mi czoło, kiedy przypatrywałem się jednemu po drugim biesiadnikom, siedzącym przy stole niemieckiego Króla Polski, w wielkiej sali Wawelu. W myśli na nowo zobaczyłem tłumy wychudłe i blade na ulicach Warszawy, Krakowa, Częstochowy, Łodzi, tłumy o twarzach spotniałych od głodu lub trwogi, błądzące po chodnikach, pokrytych błotnistym śniegiem, zobaczyłem smutne domy i dumne pałace, które codzień, ukradkiem, opuszczały dywany, srebro, kryształy, porcelana, wszystkie dawne symbole dostatku, próżności, sławy.

„Co robił pan dzisiaj na ulicy Batorego?" zapytał mnie Frank złośliwie się uśmiechając.

„Na ulicy Batorego?"

„Tak, zdaje mi się, że się nazywa ta ulica: Batorego, czy nie tak?" powtórzył Frank zwracając się do Emila Gassnera.

„Ja, Batorogogasse" odrzekł Gassner.

„A zatem po co pan poszedł do owych panien... jak się nazywają?"

„Panny Urbańskie" odparł Gassner.

„Panny Urbańskie? Alcż to są dwie staruszki, o ile się nie mylę, dwie stare panny! Cóż pan robił u panien Urbańskich?"

„Wiecie wszystko — powiedziałem — a jednakże nie wiecie, po co poszedłem na ulicę Batorego? Poszedłem, ażeby zanieść chleba pannom Urbańskim."

„Chleba?"

„Tak, włoskiego chleba."

„Włoskiego chleba? I przywiózł go pan aż z Włoch ze sobą?"

„Przywiozłem go ze sobą z Włoch. Byłbym chętnie przywiózł pannom Urbańskim wiązkę róż z Florencji, ale droga z Florencji do Krakowa jest długa i róże szybko więdną. Dlatego przywiozłem chleba."

„Chleba? wykrzyknął Frank. — I wydaje się panu, że brak może chleba w Polsce?" Tutaj szerokim gestem wskazał na srebrne tace, pełne białych kromek tego pulchnego chleba polskiego o cienkiej skórce, chrupiącej i gładkiej, niczym jedwab. Uśmiech naiwnie zdumiony rozjaśniał mu bladą i nabrzmiałą twarz.

„Polski chleb jest smutny" odrzekłem.

„Tak, to prawda, że włoskie róże są weselsze. Powinien pan był zabrać z Florencji bukiet róż dla panien Urbańskich. Byłaby to miła pamiątka z Włoch. Tym bardziej, że może nie spotkał pan w owym domu jedynie dwóch starych panien, nicht wahr?".

„Oh, vous etes mechant" *), wtrąciła Frau Waechter grożąc Frankowi palcem. Frau Wachter była wiedenką i lubiła mówić po francusku.

„Księżną Lubomirską, prawda? — ciągnął Frank ze śmiechem — Lili Lubomirska. Lili, ach so, Lili!"

Wszyscy mu zawtórowali, ja milczałem.

„Czy Lili również lubi chleb włoski?" dorzucił, ku ogólnemu wybuchowi wesołości przy stole.

Wówczas zwróciłem się do Frau Wachter: „Je ne suis pas un homme d'esprit, je ne sais pas repondre. Voulez-vous repondre pour moi?". *)

„Oh, je sais que vous n'etes pas un homme d'esprit" **), odparła z wdziękiem Frau Waechter, ale przecież jest tak łatwo odpowiedzieć, że Polacy i Włosi są narodami zaprzyjaźnionymi i że najlepszym chlebem jest chleb przyjaźni."

„Dziękuję", rzekłem.

„Ach so! — zawołał Frank, po chwili zaś milczenia dodał: — zapomniałem, że pan jest wielkim przyjacielem narodu polskiego, chciałem powiedzieć polskiej szlachty."

„Wszyscy Polacy są szlachtą", zauważyłem.

„Istotnie — co się mnie tyczy, nie robię żadnej różnicy pomiędzy księciem Radziwiłłem i woźnicą."

„I myli się pan", rzekłem.

Wszyscy patrzyli na mnie ze zdziwieniem. Frank się uśmiechnął.

Ale w tejże chwili drzwi cicho się otwarły i na srebrnej tacy weszła pieczona gęś, leżąca na grzbiecie i okolona girlandą smażonych w tłuszczu ziemniaków. Była to tłusta i okrągła gęś polska, o bujnej piersi, bokach szerokich, muskularnej szyi. Nie wiem dlaczego pomyślałem, iż nie zarżnięto jej, po dawnemu, ale że ją pluton S.S. rozstrzelał pod murem. Usłyszałem w wybraźni komendę „feuer!" i nagły huk salwy. Gęś upadła na pewno z podniesionym czołem, patrząc prosto w twarz okrutnym gnębicielom Polski.

„Feuer!", krzyknąłem głośno, jak gdyby po to, ażeby zdać sobie sprawę, co znaczy ten dźwięk szorstki, ten suchy głos komendy i niemal czekałem, że usłyszę w wielkiej sali Wawelu niespodziany huk salwy. Wszyscy się zaczęli śmiać, śmieli się przechyliwszy w tył głowy. Frau Brigitte Frank patrzyła zaś we mnie oczami błyszczącymi ze zmysłowej radości w twarzy zgrzanej i trochę spoconej. „Feuer!" krzyknął z kolei Frank i wszyscy zaczęli się śmiać jeszcze głośniej, przechyliwszy głowę na prawe ramię i przymknąwszy lewe oko, patrząc na gęś, jakby naprawdę w nią celowali. Wówczas i ja się roześmiałem, ale stopniowo powstawało we mnie uczucie wstydu: wiedziałem, że jestem „po stronie gęsi". O tak, po stronie gęsi, nie po stronie tych, co podnosili broń, ani tych, co rozkazywali: „feuer!", ani też tych, co stwierdzali: „Gans kaputt! już po gęsi".

Czułem, że jestem „po stronie gęsi" i na gęś patrząc myślałem o starej księżnie Radziwiłłowej, o drogiej, starej Bichette Radziwiłł, stojącej w deszczu na zrujnowanej stacji warszawskiej, w oczekiwaniu na pociąg, który miał ją zawieźć ku ocaleniu, do Włoch. Padał deszcz i Bichette stała tam już od dwóch godzin, pod nawpół zwęglonymi belkami dachu, na ziemi rozoranej od granatów artylerii i od bomb Stukas. „Ne vous preoccupez pas de moi, mon cher, je suis une vieille poule" *), mówiła do Soro, młodego sekretarza włoskiego poselstwa i potrząsała głową od czasu do czasu, ażeby spadły krople wody, które się zbierały w fałdzie jej filcowego kapelusza. „Żebym wiedział, gdzie znaleźć parasol", biadał Soro. „Un parapluie, voyons, ce serait ridicule a mon age" **), i śmiała się opowiadając tym swoim głosem, z tym swoim akcentem, z tym swoim poruszeniem brwi, małej grupce krewnych i przyjaciół, którym się udało otrzymać od Gestapo pozwolenie odprowadzenia jej na stację, najróżniejsze przyjemne historyjki, drobne wesołe zdarzenia, małe nieszczęścia jej odyssei poprzez terytoria zajęte przez Rosjan lub przez Niemców: jak gdyby jej litość, jej miłosierdzie i jej duma nie pozwalały zapuścić wzroku w ogromną tragedię Polski. Deszcz spływał jej po policzkach, rozpuszczając szminkę. Siwe, z żółtymi plamami, włosy, wymykały się spod filcowego kapelusza tłustymi i brudnymi kosmykami, ociekającymi od wody. Stała tak już od dwóch godzin na deszczu, z trzewikami zanurzonymi w błocie i węglu, ale mimo to wesoła, żywa, dowcipna, dopytywała się o tego i tamtego, o przyjaciół, krewnych, zmarłych, zbiegów, internowanych. I jeśli ktoś odpowiadał „więcej nic o nim nie wiadomo", Bichette rzucała „mais non, voyons!", jak gdyby pozbawiono ją jakiejś zabawnej historii, zajmującego „potin". „Ah, que cela est amusant!" **) wykrzykiwała słysząc, że „ten i ów żyją". Kiedy zaś zdarzało się, że ktoś mówił „ten umarł, tamtego internowano", Bichette przyjmowała to z urazą: „est-ce possible?" ****), zupełnie jakby mówiła: „vous vous moquez de moi" *****), jakby chodziło o rzecz niewiarygodną. Wypytywała Soro o najświeższe plotki warszawskie i spoglądając na żołnierzy i oficerów niemieckich, przechadzających się po peronie dworca, wtrącała: „ces pauvres gens" ******), z nieuchwytnym akcentem staroświeckim, jak gdyby przykro jej było, że onieśmiela ich swoją obecnością, jak gdyby się nad nimi litowała i jak gdyby zniszczenie Polski było strasznym nieszczęściem, które się przydarzyło tym biednym Niemcom.

(Dalszy ciąg nastąpi)

---

*) Chodź no tutaj!

**) Jesteś Żydem, prawda?

***) Nie, nie jestem Żydem.

****) Lubię ludzi dowcipnych, a pan ma dużo dowcipu.

*) „Baczność!"

*) Pan jest nieznośny.

**) Nie jestem dowcipny, nie umiem znaleźć odpowiedzi. Czy zechciałaby Pani odpowiedzieć za mnie?

***) Ach wiem, że brak panu dowcipu.

*) Nie zajmuj się pan mną, starą babą.

**) Parasol, to w moim wieku byłoby śmieszne.

***) Jakie to zabawne!

****) Czy to możliwe?

*****) Śmiejesz się ze mnie.

******) Biedni ludzie.

KS. MARIAN KOŁNIAŃSKI

KOŚCIÓŁ W KATAKUMBACH

Kopuła św. Piotra nad miastem i światem. Złoto i marmur pałaców papieskich, czerwień i fiolet jedwabi, wspaniałości dworu, mundury, szpady. A w centrum tego wszystkiego Papież w najprostszej białej szacie — jakby symbol związku z tą najdawniejszą epoką, gdy nie namiestnik — ale sam Pan nosił suknie utkane własną ręką Matki.

Są ludzie, którzy w Kościele dostrzegają tylko światową organizację milionów wiernych, organizację prastarą i przemożną, równą w potędze największym państwowym organizacjom świata. Widzą w Papieżu tylko władcę, równego władcom największych państw, opartego o setki milionów poddanych. To wszystko jest prawda, ale poza tym jest w Kościele coś jeszcze.

Jest m. in. cały ruch franciszkański, kult ubóstwa i wyrzeczenia. Przecie przez trzy długie wieki właściwą siedzibą głowy widomej Kościoła były nie pałace watykańskie — lecz podziemne krużganki katakumb; z tych krużganków Kościół wyszedł wówczas dopiero, gdy państwo Cezarów uznało jego prawo, prawo od woli ziemskiego ustawodawcy niezależne, uprawnienie dlo własnego bytu, na własnym prawie opartego.

By to wyjście z katakumb Kościołowi umożliwić, państwo musiało uznać — w minimalnym choćby zakresie—prawo poza — i ponad państwowe, prawo Boże:

Przez szesnaście wieków państwa Europy uznawały, mniej lub więcej, w pełniejszej lub skąpszej mierze, to prawo Kościoła. Kościół nie potrzebował kryć się, by chronić swe prawo od gwałtów. Wyszedł na światło dzienne, stał się elementem układu życia między narodami, przystroił swój ośrodek administracji w splendor, do splendoru państw dostosowany. Ale nie jest to ani istotne dla Kościoła, gdyż istniał on przez wieki bez tego; ani konieczne dla jego misji, gdyż przez wieki misję swą spełniał, gdy kryć się był zmuszony; ani wieczne — gdyż mogą powtórzyć się okoliczności, gdy powrót do ukrycia będzie konieczny. Gdy państwa wrócą do tego, czym było państwo Cezarów przed Konstantynem; gdy prawo — to prawo, które wbrew akredytowanym na wielu uczelniach poglądom istnieje niezależnie od woli ziemskiego prawodawcy, będzie zapoznane w stopniu, w którym prawa Kościoła i prawa poszczególnego chrześcijanina nie będą mogły być wykonywane inaczej jak w ukryciu, cały splendor nawarstwiony przez wieki będzie musiał odpaść i będzie musiał nastąpić powrót do tych form życia Kościoła, które znamy z historii i z pieśni, z żywotów męczenników, z Quo Vadis i z Irydiona.

Jeżeli państwa wrócą do tego, czym było państwo Cezarów przed Konstantynem... Jeżeli wrócą... Historia nie zna powrotów. Państwo rzymskie było wrogiem chrześcijaństwa, ale nie wrogiem człowieczeństwa. Długo by mówić o tym, jak i dlaczego nie ma powrotu do tej pierwotnej naturalnej ludzkości, dlaczego od czasu gdyśmy sobie uświadomili, że Bóg stał się Człowiekiem, wszystko, co w nas jest przeciwne Bóstwu, jest również przeciwne człowieczeństwu. Nie tu miejsce na badanie tego faktu i jego związków przyczynowych. Faktem jest, że tam, gdzie współczesne państwo powstaje do walki z Bogiem, czy to w imię materialistycznego ateizmu, czy w imię neopogaństwa, tam wszędzie depcąc prawa Boże depce ono i przyrodzone uprawnienia człowieka, depce, pod pozorem ustawy, każde w ogóle prawo.

Może najgłębszy przewrót myślowy dokonany w ciągu tej wojny polega na przeniknięciu do najszerszych mas Europejczyków starej prawdy: że ustawa bywa bezprawna, że prawo, właściwe prawo bywa z nią sprzeczne. Gdy w miejscu, które było prawie w zasięgu władz hitlerowskich, spotykałem ludzi kryjących się przed przedstawicielami „Ładu społecznego", „Nowego ładu"; gdy widziałem, jak przebrani chowają się przed policją; gdy słyszałem, jak zapytani o nazwisko, odpowiadali sami pytaniem: „gdzie, bo w Warszawie nazywałem się tak, w Paryżu inaczej; a w Mediolanie jeszcze inaczej; gdy spotykałem tych gwałcicieli ustaw, wrogów „Ładu społecznego" — to wiedziałem, że choć chwilową, bezprawną ustawę mają przeciw sobie — PRAWO, całe prawo, jest po ich stronie, w formie nienaruszalnych uprawnień do życia, do wolności; tak samo jest ono po stronie tych, co walczą pod ziemią w Polsce, co kryją się ze swym życiem religijnym w Rosji.

Są dziś ogromne obszary krajów, gdzie życie Kościoła musiało zejść do katakumb. Takim krajem jest Rosja. Na jej ogromnej przestrzeni nieliczni wyznawcy Kościoła — parę może milionów deportowanych Polaków i Litwinów — jeżeli żyje jakimś życiem kościelnym, to w ukryciu, pod ziemią. To kraj, gdzie polski oficer wykrywszy w jednym ze współtowarzyszy biskupa, wbrew ustawom więziennym, spowiada się przed nim; gdzie z modlitwą kryje się każdy, kto się modli. Ale rozproszenie tych członków Kościoła w bezkresach Rosji sprawia, że życie katakumbowe Kościoła mniej się tam zaznacza, niż w krajach katolickich, gdzie Niemcy prześladują Kościół. Z gnieźnieńskiej, z pełplińskiej, z poznańskiej, śląskiej diecezji idą opisy o iście katakumbowym życiu Kościoła. Księża w przebraniu idą ze wsi do wsi, by gdzieś po prywatnych domach, po strychach i piwnicach Mszę św. odprawić, by został Najświętszy Sakrament dla konających, by jak za pierwszych czasów — świeccy, kobiety i dzieci sami Najświętszy Sakrament brali do spożycia lub nosili innym. Listy stamtąd, gdy o sprawach religijnych mówią, przyjmują mimo woli słownictwo czasów katakumbowych, gdy się mówi o uczcie, o łamaniu chleba, o ojcu i braciach i gdzie pod tymi słowami wyczuwa się raczej, niż odczytuje właściwą treść.

Tam Kościół zeszedł do podziemi, tak jak w czasach przed Konstantynem. Ale co innego niż wówczas zostało na powierzchni. Rzymskie państwo było państwem prawnym; jeżeli zapoznawało ono prawa Boże, to nie było w całości i z gruntu bezprawiem. Należało mu się posłuszeństwo od obywateli.

Dziś, gdy Kościół siedzi pod ziemią, na powierzchni zostaje moc, która do miana „władzy" tylko ma pretensje, która jest z gruntu bezprawna.

A w podzieniach Kościół spotyka tych, którzy czynnie, orężnie walczą o PRAWO, o prawo ludzkie i boskie.

To zmienia zasadniczo stanowisko Kościoła. Musi ono być inne niż nim było, gdy walczył on przeciwko władzy, której prawowitość uznawał, kiedy oddawał należne cesarzowi. Bo dziś nie cesarz w imię słusznych zasad tam rządzi nad ziemią — ale uzurpator w imię nieprawości; nie należy mu się żadna uległość.

Losy świata się ważą. Jutro jest nieznane. Czy wrogie Bogu, nieludzkie moce zapanują nad światem, czy zmuszą Kościół, by zszedł do katakumb wszędzie, jak zszedł do nich w Polsce? Nie wiemy. Ale wiemy, że Kościół, jeżeli zejdzie pod ziemię — to inną będzie tam miał rolę, inne zadanie niż to, które miał wówczas. Nie tylko Irydiona tam spotka, pełnego buntu, zemsty i nienawiści przeciwko prawej władzy, ale i prawego rycerza Chrystusowego, walczącego o świętą sprawę przeciw najeźdźcy i uzurpatorowi. Jeżeli i wówczas nie zbraknie dramatów i cierpień w życiu chrześcijanina — to będą one innej natury niż te, które rozdarły duszę Kornelii, bo nie ma rozdźwięku między nakazem miłości a obowiązkiem walki o sprawiedliwość.

Msza polowa oddziału Polskiej Armii Krajowej

PRZECIW POLITYCE KAPITULACYJNEJ

Grupa członków Stronnictwa Ludowego w Londynie rozesłała — według doniesienia londyńskiej „Myśli Polskiej" — deklarację, której inaczej rozumieć nie można, jak początek odrębnej akcji politycznej. Deklaracja uchwalona została jeszcze w lutym b.r., opublikowana zaś w formie listu, szeroko rozkolportowanego przy końcu maja 1944.

Deklaracja domaga się odwagi od wszystkich Polaków na uchodźtwie, gdyż celem uchodźtwa jest „walczyć o niepodległość i całość Rzeczypospolitej". Dla tego celu Kraj krwawi. Najbardziej zaś istotnym zadaniem rządu jest: „nic nie uronić z tego, co było Polską w dniu 1 września 1939 r.". Deklaracja słusznie też stwierdza, że „bez wyraźnej zgody Polski, a tym bardziej wbrew jej sprzeciwowi, żadne z wielkich mocarstw nie może przyznać Rosji ani kawałka terytorium Rzeczypospolitej".

Deklaracja każe polityce rządu polskiego opierać się o zasady poszanowania traktatów i prawa międzynarodowego oraz Karty Atlantyckiej. Autorzy deklaracji chcą dobrych stosunków z Rosją, opartych na „wzajemnym poszanowaniu niepodległości i wspólnie w roku 1921 ustalonych granicach oraz na niemieszaniu się do wewnętrznych stosunków sąsiada". Deklaracja domaga się utrzymania przedwojennych granic Polski i przyłączenia do Polski Prus Wschodnich.

Zgoda rządu polskiego, czytamy w deklaracji — na ustępstwa terytorialne, której się od nas domagają, stanowiłaby nie tylko dobrowolną kapitulację wobec nieuzasadnionych żądań sowieckich, ale byłaby nadużyciem zaufania, jakim umęczony naród obdarzył ten rząd na kredyt — byłaby naruszeniem konstytucyjnych, politycznych i moralnych obowiązków rządu jako całości i poszczególnych jego członków, byłaby oddaniem pod obce panowanie, a prawdopodobnie i wprost na zagładę nie tylko wszystkich obywateli polskich znajdujących się dotąd w Rosji, nie tylko tysięcy rodzin żołnierzy sił zbrojnych na uchodźtwie, ale i milionów mieszkańców żądanych terytoriów — byłaby bezpowrotnym zrzeczeniem się ziem wschodnich i śmiertelnym osłabieniem Polski na wieczne czasy, wstępem do dalszych żądań sowieckch i oddaniem skarłowaciałej Polski całkowicie pod wpływy sowieckie, którym nie byłaby zdolna skutecznie się przeciwstawić, prowadziłaby w rezultacie do całkowitej utraty niepodległości, a dawałaby tytuł do twierdzenia, że wymaganiom Karty Atlantyckiej stało się zadość, skoro jest zgoda Polski — oznaczałaby zupełne zmarnowanie niebywałych w dziejach olbrzymich ofiar całego narodu.

Ponieważ jest rzeczą niewątpliwą, że cały naród, a w szczególności lud Rzeczypospolitej, bez względu na narodowość, język i wyznanie, stoi niezłomnie, twardo i ofiarnie przy obronie całości Rzeczypospolitej i nikt nie może tej jego postawie się sprzeniewierzyć, niżej podpisani członkowie Stronnictwa Ludowego wzywają ministrów, członków stronnictwa z premierem na czele, by:

Pod żadnym pozorem nie wyrażali zgody na ustępstwa terytorialne na rzecz Rosji, czy to bezpośrednio czy pośrednio, czyniąc ich osobiście odpowiedzialnymi przed Stronnictwem Ludowym, ludem i całą Polską, która nigdy żadnej w tej dziedzinie kapitulacji nie uzna".

Londyn, w lutym 1944 r. — Stanisław Scigalski, Józef Skład, Tadeusz Bernacki, Jan Adamczewski, Marian Czuchnowski, Jerzy Salski, Jerzy Kuncewicz, Zygmunt Nagórski, E. Wrzeszczyński".

Odpowiedzi redakcji

Aleks. Z-ski. Przytoczona przez Pana rozmowa zawiera ciekawe fragmenty, ale też i takie, które nasuwają zastrzeżenia. Ponadto druk tego wymagałby w każdym razie pisemnej autoryzacji ze strony rozmówcy.

Dr Z. M-cz. Dziękujemy za interesujący artykuł, który zamieściliśmy.

Judym. Ostatnio otrzymany wiersz nam nie odpowiada. Nie jest dostatecznie zwarty, jakby nie skrystalizowany. Poprzedni reportaż prozą żywy i bezpośredni, niestety jednak przyszedł już w czasie, gdy obawialiśmy się, czy ten nastrój może być aktualny.

Plut. B. R-k. Z treścią Pańskiej „Odpowiedzi" godzimy się całkowcie, forma — poprawna, ale nie wydaje się nam poetycka.

Mgr Miecz. F. — Artykuł w dużej mierze słuszny, mamy jednak dwa ważne zastrzeżenia: 1) Zwęża koncepcję federacji narodów Międzymorza do ciasnej i niebezpiecznej koncepcji unii polsko-czeskiej, co wydaje nam się cofnięciem naszej myśli politycznej o parę lat wstecz; 2) przez pominięcie zagadnienia słowackiego artykuł wydaje się przesądzać, jakoby pomimo raczej smutnych doświadczeń 20-lecia Słowacja musiała być ponownie oddana Czechom.

Jur. — Stosunki koleżeńskie z naszymi aliantami powinniśmy oczywiście utrzymywać i zacieśniać. Doceniamy znaczenie propagandowe tego kontaktu i zgadzamy się w zupełności, że o ile postępowanie fair jest zawsze wskazane, w stosunkach z cudzoziemcami jest ono wręcz konieczne. Według naszej obserwacji, żołnierz nasz zdaje sobie sprawę z tej roli „ambasadora Rzpltej" i nierzadko może być przykładem dla innych. Trudno też zapominać, że w dzisiejszej sytuacji politycznej nie my jesteśmy stroną, która może się obawiać zarzutu gry nie-fair. Rozumiemy, że ma Pan na myśli codzienne postępowanie jednostek, nie wielką politykę. Dobrze jest jednak pamiętać i uświadamiać innych, że każdy obywatel ponosi cząstkę odpowiedzialności za swe państwo. Zwłaszcza obywatel państwa szczycącego się demokratyzmem.

Azymut. — Oba nadesłane artykuły przeczytaliśmy z ciekawością, a jednak — nie drukujemy. Łatwość syntezy stanowi ich wdzięk, ale i niebezpieczeństwo zarazem. Jej wynikiem jest błyskotliwość; ale i miejscami powierzchowność sądów. Zwłaszcza daje się to odczuć w „Precedensach literackich", gdzie wylicza Pan przykłady w dużej mierze bez uzasadnienia, nie dając czytelnikowi pola do zajęcia stanowiska. Pomimo widocznej erudycji „Precedensy" sprawiają wrażenie dużej przypadkowości. „Aspekty" znacznie lepsze, ale zawierają również sądy, z którymi bez dowodu trudno się zgodzić.

✝

Ś. P.

ADAM SZUMAŃSKI

Kapral Dywizji Strzelców Karpackich

Doktór Filozofii Uniwersytetu Jagiellońskiego

poległ dnia 6 lipca 1944 r. w Loreto

PIELGRZYMI

(Przegląd prasy)

Jeżeli ktokolwiek miał złudzenia, jak rozumie się w Moskwie podróż premiera Mikołajczyka, temu powinien tę sprawę ostatecznie wyjaśnić artykuł „Wojny i klasy robotniczej" (nr 15), przedrukowany w organie włoskiej partii komunistycznej „L'Unita" z dnia 13 sierpnia br. Czytamy tam: „Dziś jest rzeczą oczywistą, że przyszłość należy do tych czynników, które potrafią zgrupować się wokół polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego i pójść wyznaczoną przezeń drogą. Z tego punktu widzenia należy oceniać podróż Mikołajczyka do Moskwy — podróż przedsięwzięta, jak wynika z prasy zagranicznej, z wielkim opóźnieniem".

W poprzednim numerze „Orła Białego" oceniliśmy nieszczęsną podróż p. Mikołajczyka jako próbę sprowadzenia rządu polskiego w Londynie — który jest rządem legalnym — do poziomu „Związku Patriotów". Artykuł „Wojny i klasy robotniczej" stanowi najbardziej miarodajne potwierdzenie naszej tezy. Tak ujmowała tę sprawę już prasa brytyjska, w ten sam ton uderza oficjalny organ sowiecki. Rząd polski — gdyby upierał się przy dojściu do porozumienia z chełmskim (czy wciąż jeszcze?) komitetem targowiczan — mógłby odegrać co najwyżej rolę jednego z owych „czynników, które potrafią zgrupować się wokół polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego i pójść wyznaczoną przezeń drogą".

Artykuł zawiera ponadto wszystkie ograne motywy sowieckiej propagandy, a więc szkalowanie rządu polskiego jako reprezentacji „reakcyjnych obszarników", „faszystów" etc. Autor obłudnie odpiera zarzut, jakoby stanowił zarzewie wojny domowej w Polsce. Winę za ewtl. wybuch takiej wojny „domowej" usiłuje się z góry zwalić na „klikę Sosnkowskiego". Władze polskie w Londynie nie rozporządzają — zdaniem moskiewskiej urzędówki — żadnymi wpływami w Polsce. Twierdzenie to stoi w sprzeczności nie tylko z owym zastrzeżeniem, że winę za wybuch wojny domowej poniosą koła rządzące w Londynie, ale także ze świeżym zarzutem, jakoby rząd polski wywołał przedwcześnie i bez porozumienia z Sowietami powstanie w Warszawie — co ma być usprawiedliwieniem dla braku pomocy dla powstańców ze strony armii czerwonej. Więc jak to jest właściwie: czy władze polskie w Londynie nie mają „żadnego wpływu" w Polsce, czy też rozporządzają wpływem tak daleko idącym, że mogą organizować w stolicy kraju powstanie, zdolne całymi tygodniami opierać się wojskom pancernym i lotnictwu Hitlera? Takich nonsensów spotykamy w artykule urzędówki sowieckiej bardzo dużo — jak zwykle w prasie naszego wschodniego sąsiada.

Specjalny smaczek ma zdanie artykułu, w którym winą za klęskę wrześniową obciąża się „awanturniczą klikę faszystowską, która przed wojną rządziła w Polsce". Dziwna to klika „faszystowska", która pierwsza wystąpiła z bronią w ręku przeciwko Hitlerowi i dziwna to „awanturniczość", która wyraziła się w zastopowaniu „pokojowych zdobyczy" systemu, z którym bolszewicy obecnie (o dwa lata krócej, niż Polska!) walczą „na śmierć i życie"! Doskonałą odpowiedzią na tę swoistą interpretację historii daje wcześniejsze zdanie tego samego artykułu, zestawione z ostatnimi faktami: „Warszawa, pierwsza stolica zdobyta przez armię niemiecką, będzie pierwszą stolicą, wyzwoloną z pod jarzma hitlerowskiego". Widzieliśmy, co się działo, gdy Armia Krajowa rozpoczęła wyzwalanie Warszawy z rąk hitlerowskich oprawców: sowieccy „wyzwoliciele" stanęli pod Warszawą bezczynnie, po czym usłyszeliśmy z Moskwy komunikaty, że armia czerwona walczy o... Siedlce!

Ta dziwna i nie po raz pierwszy zaobserwowana taktyka sowiecka spotkała się z wcale surowym napiętnowaniem w wielu dziennikach niezależnych, a zwłaszcza w watykańskim „Osservatore Romano", który dnia 12 sierpnia pisze: „Jak się to dzieje, że Warszawa (mimo walki, jaką w niej toczą Polacy z ruchu podziemnego) pojawia się w komunikatach sowieckich tylko jako punkt na mapie, od którego określa się stanowiska wojsk na półn. zachód i na płd. wschód od niej, a nie jako cel bezpośredni natarcia wojsk sowieckich? Dlaczego — skoro już 30 lipca ogłoszono, że wojska sowieckie stoją na przedmieściach Warszawy — dziś oświadcza się tylko, że maszerują na Warszawę? W tym stanie rzeczy należy poprzestać na tych prostych pytaniach". Istotnie, na tych pytaniach należy poprzestać, gdyż są to pytania r e t o r y c z n e, a więc pytania, które same w sobie zawierają odpowiedź.

Z natarcia „Żbików" na Palazzo del Canone

Kiedy p. Mikołajczyk znajdował się w drodze do Moskwy i gdy Kraj wzywał go, by zawrócił z drogi, która nie jest drogą przyszłości Polski — premier spotkał się w Kairze bardzo ostentacyjnie z dwoma Polakami, z których jednym był p. Tomasz Arciszewski, senior polskich socjalistów, przewidziany przez p. Prezydenta Raczkiewicza na swego następcę, a drugim niejaki p. Rettinger, który — jak się zdaje — udał się niedawno z Londynu do kraju i towarzyszył p. Arciszewskiemu w drodze do Londynu. W komunikatach londyńskich przedstawiano o b u panów jako reprezentantów Polski Podziemnej i starano się wywołać wrażenie, że podróż moskiewska odbywa się za zgodą Kraju.

Zapewne z inicjatywy ruchliwego p. Rettingera ukazał się w prasie kairskiej wywiad z oboma podróżnymi. Charakterystyczny jest tytuł, jaki wywiadowi temu dał np. „Le Progres Egyptien": „Sprzeczne oświadczenie dwóch szefów (!) polskiego ruchu podziemnego". Tytuł ten istotnie bardzo dokładnie odpowiada treści wywiadów. Sprzeczność, jaka między nimi zachodzi, jest w samej rzeczy zastanawiająca; odsłania ona lepiej niż długie analizy różnicę, jaka zachodzi między opinią Kraju a opinią pewnych obałamuconych czynników polskich w Londynie.

P. Rettinger (który przemawiał do dziennikarzy pierwszy!) — oświadczył (cytujemy za „Le Journal d'Egypte"): „Jeżeli p. Mikołajczyk zawrze porozumienie z rządem sowieckim, znajdzie poparcie całego narodu polskiego, j a k i e k o l w i e k b y ł y b y w a r u n k i tego porozumienia". To podał p. Rettinger do wierzenia dziennikarzom egipskim jako opinię Kraju! Aby to powiedzieć, podszył się bezceremonialnie pod maskę „przywódcy polskiego ruchu podziemnego". P. Rettinger nigdy nie był żadnym przywódcą, a kilkutygodniowy pobyt w Polsce nie daje mu najmniejszego prawa do przedstawiania swojej osoby jako „szefa Polski Podziemnej"!

P. Tomasz Arciszewski natomiast oświadczył: „Doceniamy wszyscy udział Rosji w tej wojnie. Lecz gdyby podjęto próby narzucenia rządowi polskiemu warunków niemożliwych, które zmusiłyby Polaków do wznoszenia swego własnego grobu we własnym kraju, obawiam się, że wynikłyby z tego zamieszki i trudności. Polacy myślą obecnie tylko o tym, czy po okupacji niemieckiej nastąpi inna okupacja ich kraju. Mam nadzieję, że sprzymierzeni będą czuwali, by Polska nie była opuszczona".

Jedyną cenną informacją, jaką podał p. Rettinger w odpowiedzi na zapytania dziennikarzy, była wiadomość, że nie zauważył w Polsce wzrostu wpływów partii komunistycznej. Nam tego nie potrzeba wyjaśniać, ale Egipcjanom (prawdziwym i i wszelkiego rodzaju innym) może się taka informacja przydać. P. Arciszewski dodał, że jedynym zadaniem odbudowanego pod mianem „Partii Robotniczej" ruchu komunistycznego w Polsce jest „zdezorganizowanie ruchu podziemnego". P. Arciszewski stwierdził ponadto, że komuniści stanowią trzon tzw. „komitetu wyzwolenia narodowego", który zapewne szybko stanie się organizacją czysto komunistyczną (p. Arciszewski powiedział, że „obawia się" tego). Byłoby dobrze, gdyby takie prawdy dotarły także do... Londynu.

Również z „Journal d'Egypte" dowiadujemy się, że przyjazd p. Mikołajczyka do Moskwy poprzedzony był artykułem w „Izwiestiach", które — wbrew uroczystym zapewnieniom Stalina, że nie będzie się mieszał do spraw wewnętrznych Polski — przewidują, że rząd polski ulegnie rychło gruntownej przebudowie (tak napisali). „Izwiestia" stwierdzały dosłownie: „Z punktu widzenia polskich kół emigracyjnych reorganizacja taka mogłaby polegać tylko na całkowitym zerwaniu z kliką (!) Sosnkowskiego, na porzuceniu wszelkiego nastawienia anty - sowieckiego i na zgrupowaniu wszystkich polskich sił postępowych (!) na emigracji wokół polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego". To było przed rozmowami p. Mikołajczyka nie tylko ze zdrajcami chełmskimi, ale także z Mołotowem i Stalinem. A „Izwiestia" na wiatr nie gadają! Premier polski wiedział więc dokładnie, co go czeka.

Dnia 5 sierpnia „The Egyptian Mail" zamieszcza depeszę z Moskwy, w której podano program rozmów p. Mikołajczyka bez owijania w bawełnę: „Obserwatorzy sądzą, że może dojść w ostatniej chwili do porozumienia między Sowietami a londyńskimi Polakami, na zasadzie którego rząd polski na wygnaniu i polski komitet wyzwolenia zostałyby połączone, a problem graniczny załatwiony". Do tego doszedłby pakt między „Polską" a Sowietami, podobny do paktu Benesz - Stalin. Bukiecik mały, ale ozdobny i wonny. P. Rettinger sądzi, że naród polski nawet by nie kichnął, gdyby mu go pod nos podsunięto!

„The Egyptian Gazette" z 7 sierpnia zamieszcza — bardzo w porę — recenzję z książki znanego rzeczoznawcy wojskowego Liddell Harta pt. „Dlaczego powinniśmy korzystać z nauk historii?" Dziennik kairski cytuje dłuższy ustęp z tej książki. Wyjmujemy z niego następujące słowa: „Nie powinniśmy byli zawierać takiej umowy, jaką zawarliśmy z Polską i nie powinniśmy byli obiecywać Polsce, że przyjdziemy jej z pomocą, jak to uczyniliśmy. Nie mogliśmy pomóc Polsce i dla tego nie powinniśmy jej byli pomocy obiecywać. Lepiej by było, gdybyśmy byli radzili Polsce, by pogodziła się z żądaniami niemieckimi. To sprawiłoby, że Polska... chętnie byłaby przyjęła współpracę Rosji i na tej podstawie byłaby powstała nowa sytuacja".

P. Liddell Hart jest mądry po szkodzie, jak p. Lippmann, który bardzo podobne rady dawał w ubiegłym roku Amerykanom. My słuchamy takich refleksji z uczuciami mieszanymi, ale z wielkim pożytkiem.

Kogo interesuje, co ma wyniknąć z obecnych sporów o przyszły układ stosunków w Europie, niech posłucha wywiadu, jakiego udzielił prasie egipskiej jeden z członków brytyjskiej misji parlamentarnej, która niedawno odwiedziła Kair. Sir Alfred Beit oświadczył, że w kołach politycznych Anglii coraz większą popularność zdobywa plan Bloku Zachodnio - Europejskiego, do którego weszłaby Wielka Brytania, Francja (odzyskując swoją pozycję przedwojenną) i takie mniejsze państwa, jak Belgia, Holandia, Dania i Norwegia. Rosjanie — zapewnia Egipcjan p. Beit — popierają ten plan. Powstałby bowiem również Blok Wschodni, obejmujący Rosję, Polskę i kilka krajów Europy Wschodniej. P. Beit nawet nie zauważył, że uczynił z nas, którzy związaliśmy się z demokracjami, by obronić się przed totalizmem — wasala mocarstwa totalistycznego. Takie rzeczy uchodzą dziś uwagi ludzi. Przebacz im, Panie, albowiem nie wiedzą, co mówią. **(m. r.)**

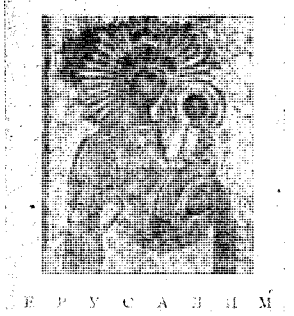

Nakładem Oddziału Propagandy i Kultury Armii Polskiej na Wschodzie ukazał się

w języku ukraińskim

Modlitewnik dla greko-katolików

Modlitewnik jest do nabycia w cenie 100 lirów w referatach Propagandy i Kultury oraz u księży kapelanów

CO DALEJ?

(Dokończenie art. ze str. 1)

Obecnie w stosunku do powstania w Warszawie zajęła takie same niemal stanowisko jak Niemcy, stanowisko nieżyczliwe, by nie powiedzieć w r o g i e. Nie po raz pierwszy zresztą samodzielna walka Polaków o wolność łączyła przeciw nim dwóch rywali zmagających się o władztwo nad Europą środkową.

Dotychczas Moskwa twierdziła, że nie jest jej obojętna wolność ludów i niektóre narody wierzyły tym zapewnieniom. Dziś patrzy ona obojętnie, jak giną w Warszawie polscy żołnierze wolności, jak walą się w gruzy ocalałe z pierwszych dni wojny resztki murów dumnej stolicy. Jest nad czym zastanowić się, gdyby ludzie mieli zwyczaj zastanawiania się. Jest czym otwierać oczy tym, którzy je jeszcze posiadają.

Z aktów tych jaskrawych, przeraźliwych, wstrząsających potęgą rozgrywającego się dramatu wypływają nieodparte wnioski. T a k d a l e j b y ć n i e m o ż e, jeżeli nie chcemy zginąć w jakimś straszliwym zaślepieniu, w jakiejś niewytłumaczalnej naiwności, płynącej ze słabości i prymitywizmu myślenia, które czynią z nas już nawet nie Don Kiszotów, ale ludzi, których przestaje się poważnie traktować.

Polityka, która nie daje oczekiwanych wyników, musi ulec zmianie. Polityka dobrej woli okazywanej jednostronnie Rosji przyniosła nam same szkody nie dając nawet tego, czego spodziewali się od niej jej propagatorzy - wyrównania naszych stosunków z rządem sowieckim. Jeżeli więc nawet pragnęlibyśmy utrzymać ten cel, należałoby chwycić się m e t o d y innej, która będzie może lepiej zrozumiana w Moskwie.

System okazywania dobrej woli wyłącznie przez nas poniżał nas w oczach świata i stawiał nas niezasłużenie na ławie oskarżonych. Co więcej, p a r a l i ż o w a ł s w o b o d ę n a s z y c h r u c h ó w i pozbawiał nas i n i c j a t y w y politycznej na różnych odcinkach. Oddawał nas na łaskę i niełaskę obu naszych sąsiadów.

Jeżeli natomiast są kraje, dla których Polska jest wciąż dogodnym polem doświadczalnym dla obserwacji dobrej czy złej woli takiego czy innego mocarstwa, to wydaje się, że nadszedł już czas, by wskazać na inne tereny, gdzie doświadczenia te mogłyby być z powodzeniem i z mniejszymi ofiarami robione. Świat jest daleki i szeroki. Nie kończy się na Wiśle, która znowu skrwawiła się krwią samotnych Polaków.

Nadszedł czas, by rzeczy te jasno, szczerze i otwarcie były wszystkim powiedziane. Muszą się też znaleźć ludzie, którzy potrafią to uczynić.

ARP.

Wydawca: Oddział Prop. i Kult. Armii Polskiej na Wschodzie. Tłoczono w Ciężkiej Drukarni Polowej A. P. W. Adres redakcji i administracji: Polforces CMF 58.